

Wydawnictwo Ekonomiczne
Biblioteka
Główna
- w Sopot -

TAKŻE I DO POLSKI

POPŁYNIE PRĄD Z TURBIN
(na zdjęciu — montaż) NAJ-
WIĘKSZEJ W EUROPIE ŚRODKO-
WEJ KONSTRUKCJI HYDROELEK-
TRYCZNEJ, WYBUDOWANEJ NA
RZECIE ORAWIE W CZECHOSŁO-
WACJI. NASZ SPECJALNY WY-
ŚŁANNIK—LUCJAN WOLANOWSKI
OPOWIADA O TYM NA STR. 6 I 7
W „REPORTAŻU ZA MIEDZY”



RAFAŁ — SERDECZNY PRZYJACIEL

CO DZIEN wczesnym popołudniem rozlega się w „Expressie Wieczornym” charakterystyczny turkot maszyny rotacyjnej.

— Ruszyła!

Zaraz po tym goniec redakcyjny przynosi „na górę” pierwsze egzemplarze gazety do pokoju naczelnego redaktora.

Tu przez siedem lat szły one do rąk Rafała Prągi. Chwytał gazetę łapczywie. Głęboko przejęty wpatrywał się w kolumny mokre jeszcze od farby drukarskiej. Kiedy wszystko było w porządku, twarz Rafała opromieniał radosny uśmiech zadowolenia. Wówczas nierzadko powiedział: „No, dziś dobry numer”. I to była bardzo ważna pochwała dla zespołu.

Gdy dostrzegł jakiś brak czy usterkę w gazecie, zaszepczał się, ale nie na długo, bo już po chwili rzucał dziesiątki nowych pomysłów, aby jutro, pojutrze i w następnych dniach gazeta była lepsza, bardziej atrakcyjna i wartościowa.

Ktoś powiedział prawdziwie, że Rafał eksploduje pomysłami. Jego wielki talent dziennikarski, Jego żarliwość i pasja promieniowały twórczo na cały zespół redakcyjny, ożywiały każdy dzień naszej pracy.

To On był inicjatorem popularnych raidów ekspresowych po Warszawie i na wieś, spotkań i narad z Czytelnikami i korespondentami. On dawał pomysły konkursów, ankiet, akcji masowych gazety. Niewyczerpana inwencja twórcza i wielostronne zdolności pozwalały Mu ponadto włączyć się do aktywnej pracy w filmie, w teatrze, w wielu wydawnictwach.

Był jednym z najpopularniejszych ludzi w stolicy. Był bliski Warszawie. Pogodny, bezpośredni i szczery, zaskarbił sobie głęboką sympatię i serdeczną przyjaźń nie tylko w „Expressie”, którym kierował, lecz także szeroko poza redakcją „Expressu”.

— Rafał! — tak mówili o nim wszyscy: i najbliżsi przyjaciele, i ludzie, którzy Go mniej nawet znali.

I to, że kioskarski warszawski, który otrzymał pierwsze dzienniki z wiadomością o śmierci Naczelnego Redaktora „Expressu”, z przerażeniem wykrzyknął do kogoś kupującego gazetę: „Panie! Rafał nie żyje!”, jest chyba najlepszym wyrazem, jak bliski był Rafał ludziom Warszawy.

Bo też ludzkie sprawy serdecznie obchodziły Rafała Prągi. Kochał swoją ojczyznę i kochał ludzi, którzy tworzą jej szczęście, budują w Polsce socjalizm. Pragnął żarliwie swą pracą pomagać im w tej wielkiej budowie. Troszczył się o to, by „Express” nie pomijał najdrobniejszej nawet sprawy dotyczącej człowieka. Często powtarzał Rafał na zebraniach redakcyjnych, w rozmowach z kolegami: „Nie ma spraw nieważnych, skoro w grę wchodzi człowiek”.

Według tej zasady postępował w pracy redakcyjnej i w życiu osobistym. Dlatego tak ogromne położył zasługi dla rozwoju gazety zorganizowanej i kierowanej przez Niego w ciągu 7-lecia. Na każdej szpalcie, w każdym dziale „Expressu” zawiera się Jego niezniszczalny, twórczy trud.

Dziś, gdy rusza expressowa rotacja, w pokoju naczelnego redaktora nie ma już Rafała. Miał zaledwie 36 lat, kiedy od nas odszedł. Utalentowany kierownik i wychowawca zespołu, szczery przyjaciel i serdeczny kolega.

I kiedy bierzemy teraz z maszyny świeży numer „Expressu”, przeglądamy go myśląc, co też powiedziałby o tym numerze Rafał, czy Jego twarz rozjaśniłaby się niezapomnianym, promiennym uśmiechem zadowolenia.

WŁODZIMIERZ DZIĘCIOŁOWSKI

ROK KOPERNIKOWSKI



CAF

W 410 rocznicę śmierci Kopernika pomnik uczonego polskiego w Krakowie przeniesiony został na nowe miejsce przed gmach Uniwersytetu Jagiellońskiego.

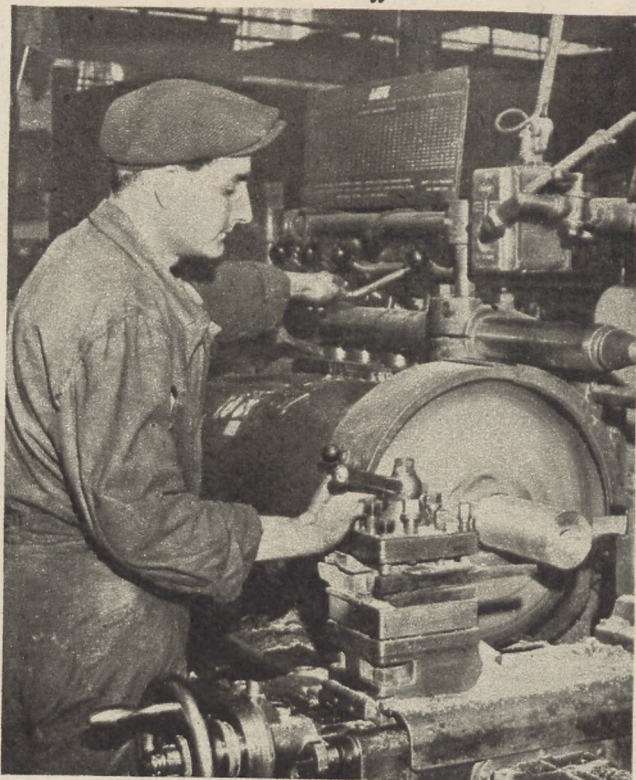
AKCJA OSIEDLEŃCZA TRWA



CAF

Z niesłabnącą siłą trwa akcja osiedleńcza na Ziemiach Zachodnich. Przewodniczący PRN w Gryfinie wręcza akt nadania ziemi osadnikowi Kołbrzyńskiemu.

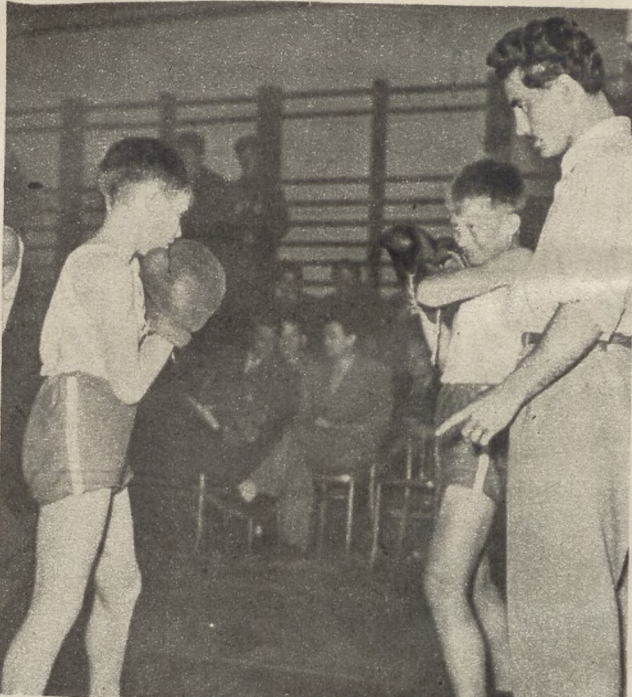
NOWE NORMY W „URSUSIE”



CAF

Młodzież ZMP-owska w „Ursusie” rozpoczęła pracę według nowych norm. Na zdjęciu tokarz Stanisław Maciak.

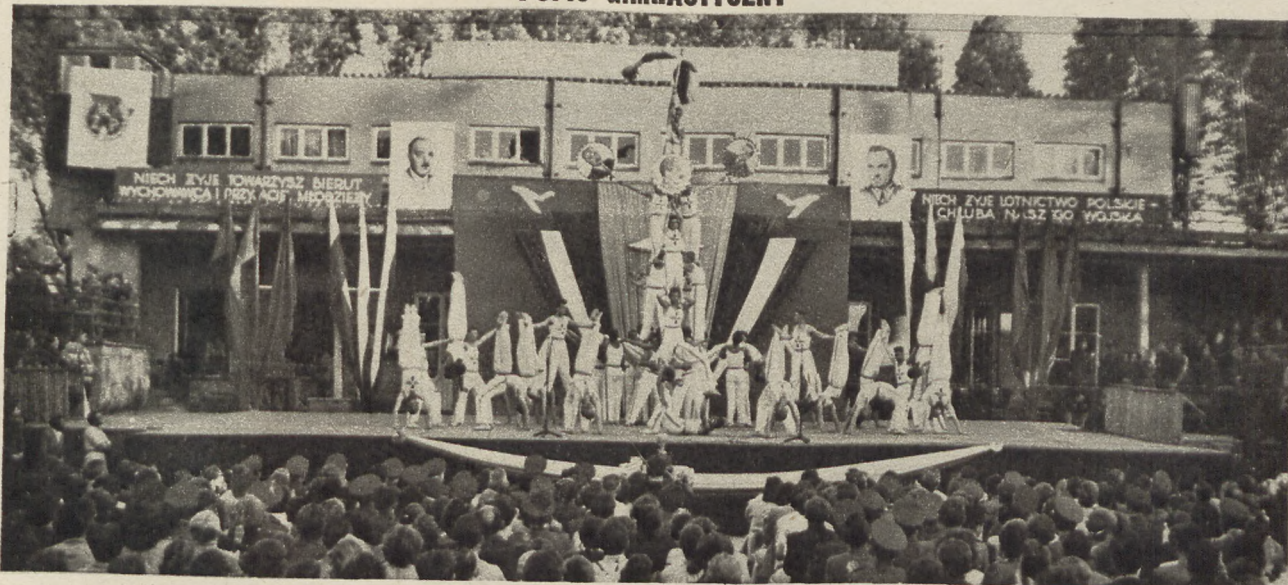
PRZYSZLI MISTRZOWIE



CAF

Rośnie młoda kadra przyszłych reprezentantów polskiego sportu. Znakomity bokser węgierski Papp udziela wskazówek przyszłym pięściarskim mistrzom świata.

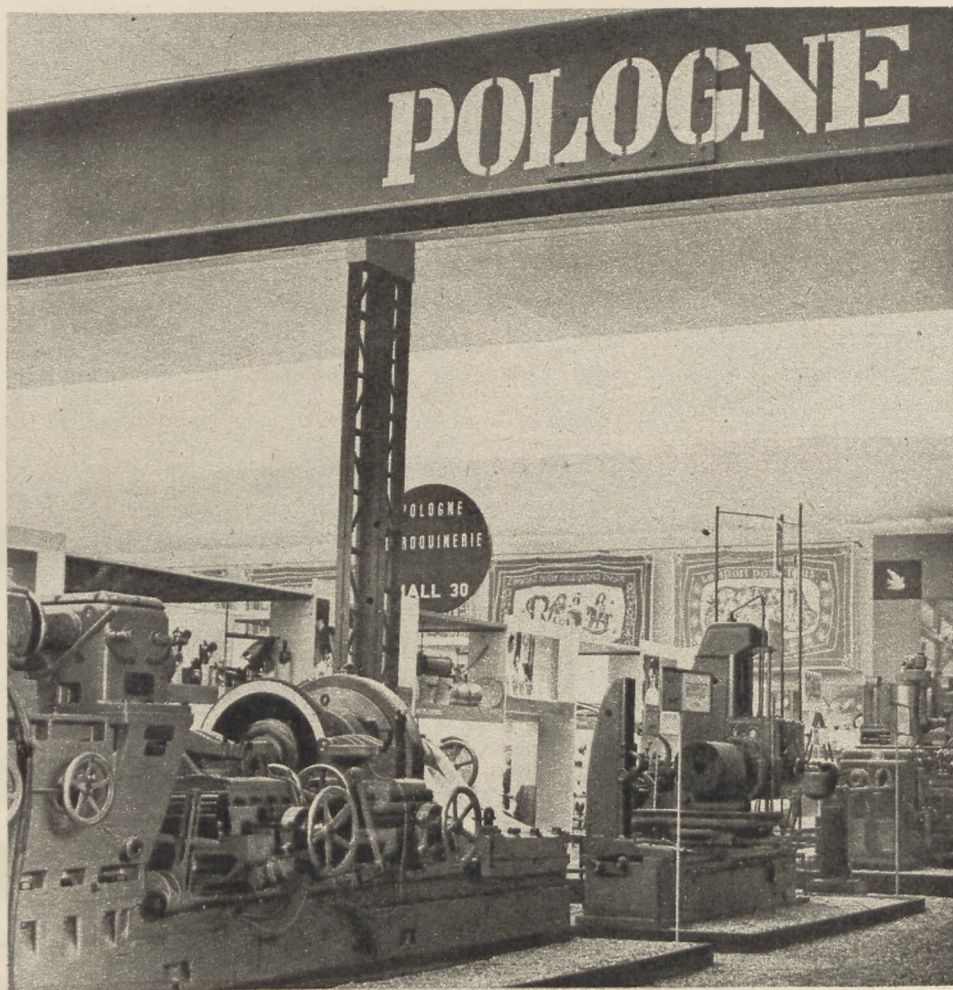
POPIS GIMNASTYCZNY



CAF

W ramach szefostwa ZMP nad lotnictwem odbyło się w Warszawie spotkanie młodzieży stolicy z żołnierzami wojsk lotniczych. Młodzi sportowcy zademonstrowali publiczności doskonałe pokazy gimnastyki piętrowej.

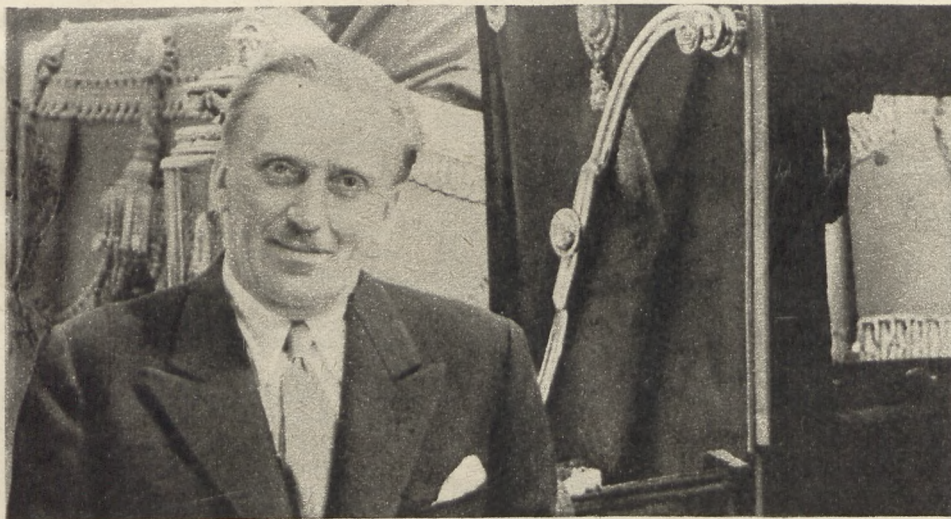
POLSKIE MASZyny W PARYŻU



Müller

Na dorocznych Targach Paryskich powszechne zainteresowanie publiczności francuskiej budziło stoisko z eksponatami polskiego, przemysłu maszynowego.

NOWY AMBASADOR PRL W LONDYNIE



Keystone

Nowy Ambasador Nadzwyczajny i Pełnomocny Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej w Wielkiej Brytanii, Eugeniusz Milnikiel, złożył po przybyciu do stolicy Anglii listy uwierzytelniające królowej Wielkiej Brytanii — Elżbiecie II.

„PRZYWITANIE” DULLESA



Keystone

Sekretarz stanu Dulles odbył ostatnio podróż po krajach Bliskiego i Dalekiego Wschodu. W Kalkucie ludność powitała go potężną demonstracją antywojenną.

SWIAT NASZA KRONIKA

RÓŻNE bywały dotychczas medale i ordery wojskowe, jak również i cywilne.

Dowództwo amerykańskie ustanowiło nowy order. Jest to medal, który ma być przyznawany każdemu żołnierzowi USA, mogącemu wykazać się nienagannym zachowaniem w przeciągu roku na ziemi brytyjskiej.

Okazuje się, że niewywoływanie awantur, nieprzejeżdżanie przechodniów, niebranie udziału w bijatykach, nienapadanie na spokojnych przechodniów należy według pojęć dowództwa amerykańskiego do gatunku rzadkich cnót wojennych, stanowi czyn odzwagi i nadludzkiego męstwa i z tego tytułu powinno być nagradzane i wyróżniane. Żałować również wypada, że ustanowiono tak pomysłowe odznaczenie tylko dla żołnierzy, zapominając o wyższych i najwyższych dowódcach. A przydałoby się amerykańskim generałom takie odznaczenie za niewywoływanie awantur międzynarodowych, za niewtrącanie się do życia innych narodów, za nieorganizowanie wojen — słowem za nieobecność w obcych krajach.

Czegóż bowiem można wymagać od amerykańskiego szeregowca, jeśli jego dowódcy nie dają dobrego przykładu zachowania się w wielu krajach? Dlaczego żądać od tych żołnierzy dobrego zachowania się właśnie w Anglii, kiedy odznacza się ich właśnie za nie-dobre, barbarzyńskie zachowanie na Korei? Sam fakt przebywania w większych oddziałach wojskowych w obcych krajach, wbrew woli narodów, już jest dużą nieprzyzwoitością, i to właściwie przesłania całkowicie problem, ilu Anglików pijani Amerykanie bezkarnie rozjeżdżają w przeciągu roku na angielskich szosach. Nie ustanowienie medalu za dobre sprawowanie prowadzi do utrzymania spokoju w Anglii, do zapewnienia bezpieczeństwa na szosach, do ustrzeżenia prostego Anglika przed brutalnością żołnierza amerykańskiego, ale zupełnie co innego. Jest to sposób radykalnie i stuprocentowo pewny. Jest to sposób zaiste uniwersalny, mający zastosowanie pod każdą szerokością i długością geograficzną, o każdej porze roku, wszędzie, gdzie znajdują się oddziały amerykańskie poza granicami Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej.

Tym sposobem jest wycofanie wojsk amerykańskich.

BO też to amerykańskie awanturnictwo zaczyna niecierpliwie już cały chyba świat. Nawet Winston Churchill, kawaler Orderu Podwiązki, posiadający składną niemal udział w tym, że amerykańscy żołnierze przebywają na ziemi angielskiej, też wyraża swoje niezadowolenie.

Przywódcy amerykańscy głosili hasło zjednoczenia Europy i zjednoczenia świata. Wydaje się, że dzieła tego potrafili dokonać. Świat staje się coraz bardziej, coraz mocniej zjednoczony — przeciwko amerykańskiemu awanturnikom, ustanawiającym medale za dobre zachowanie się, ale nie starającym się nawet o nie ubiegać.

Polityka imperialistów amerykańskich i innych, tych najmocniej związanych z Ameryką, polega na „nieuznawaniu”. Więc Stany Zjednoczone „nie uznają” rządu i państwa chińskiego, liczącego czterysta pięćdziesiąt milionów obywateli, to znaczy niemal czwartą część ludzkości. Francuski prezydent Auriol, idąc w te ślady, „nie uznaje” Komunistycznej Partii Francji, najsilniejszej partii kraju, co potwierdziły jeszcze raz ostatnie wybory samorządowe. De Gasperi „nie uznaje” granicy polsko-niemieckiej na Odrze i Nysie, a Adenauer „nie uznaje” woli narodu niemieckiego pragnącego zjednoczenia.

TAKIE nieuznawania nie nowe są w historii. Papież kiedyś również „nie uznawał” faktu zjednoczenia się narodu włoskiego i tego, że naród ten obrał swą stolicę w dawnym swym stołecznym mieście — w Rzymie. Wiele rządów kapitalistycznych „nie uznawało” Związku Radzieckiego i dokonanej w Rosji rewolucji.

Jeśli sięgniemy dalej i rozszerzymy zakres nieuznawania, przypomnimy sobie, że byli tacy, co „nie uznawali” krążenia Ziemi dookoła Słońca, jak i tacy, którzy nie uznawali w ogóle roli Słońca dla naszego życia, bo „Słońce świeci w dzień, kiedy i tak jest widno”. Jedni w przeszłości „nie uznawali” bakterii i walki z nimi, inni nie uznawali innego ustroju jak pańszczyzna. Potem nie uznawali innego jak kapitalizm.

A historia poucza, że koniec takich nieuznawaczy był zawsze taki sam. Otóż nie można istnieć, działać, przewodzić wbrew faktom przy pomocy nieuznawania.

Śmieszni i pożałowania godni są tacy politycy i nieproszeni przywódcy narodów. Czekają ich tylko klęski. Podobni są do tego małego chłopca, który po przybyciu pierwszy raz do Zakopanego ujrawszy Giewont, krzyknął: „Nie! Takiej góry nie ma!”

A Giewont był i jest. Giewont jest naprawdę, choć go naiwny, mały chłopiec „nie uznał”. Takie niewinne rzeczy wybacza się dzieciom, a nie starym, dorosłym imperialistom, „nie uznającym” najbardziej oczywistych faktów. Tu nie ma rachuby: „tym gorzej dla faktów”. Tu jest tylko: tym gorzej dla imperialistów.

JAN SZELAĞ

STOLICA STALI

EDWARD KARŁOWICZ

Z PLAKATU wyglądała roześmiana twarz młodego robotnika. Za nim widniały zarysy jakichś wielkich rusztowań. Napis mówił: „Zgłoś się do pracy w Nowej Hucie!” W gazetach ukazywały się artykuły i reportaże, na odczytach i pogadankach mówiło się o wielkim kombinacie i stutysięcznym mieście. Na krakowskim postoju autobusów pojawiły się wozy z tabliczką „Kraków — Nowa Huta”, później nieco można było na dworcu usłyszeć z głośnika: „Pociąg podmiejski do Nowej Huty odejdzie z toru czwartego...”

Młodzi chłopcy w podkrakowskich wsiach pakowali swe rzeczy w węzłki i jechali „na hutę”. W dyrekcjach zakładów przemysłowych odbywały się narady nad poważnymi zamówieniami o krótkich terminach. Uczestnicy wycieczek opowiadali znajomym: „Ogromny teren rozkopali. To naprawdę będzie coś wielkiego...”

I tak jakoś przyzwyczailiśmy się do myśli, że „Nowa Huta rośnie”, że kiedyś, w przyszłości, będziemy mieli piękny, nowoczesny kombinat i duże miasto — „z niczego”. Wszystko to wydawało nam się dość odległe, zawieszona gdzieś w dalekiej perspektywie czasu przyszłość — i dlatego nie zupełnie realne.

Bywa tak często, że rodzice przyzwyczajają się do myśli, iż mają dziecko, i wiedzą — niekiedy nazbyt długo — że to dziecko, dziecko drogie, rosnące i rozwijające się, coraz większe i mądrzejsze — ale ciągle jeszcze dziecko. Aż naraz nadchodzi moment „objawienia”: przecież to już nie dziecko, to dorosły chłopak, który ma swoje sprawy wcale już nie dziecinne, który zacznie wkrótce zarabiać, zabierać głos w sprawach domu, odgrywać ważną rolę w gospodarce i całym życiu rodziny. Tak było i z Nową Hutą.

Tej wiosny tak się stało, że wielkość i ilość zbudowanych obiektów i dróg, zmontowanych urządzeń i mechanizmów, oddziałów produkcyjnych i przystępujących do produkcji — zmieniła jakość naszego spojrzenia na tę największą budowlę naszej sześciolatki. Widzimy dziś coraz wyraźniej, że Nowa Huta z każdym miesiącem mocniej wpływać będzie na kształtowanie się oblicza kraju, na kształtowanie się naszych losów osobistych. I dlatego sprawy Nowej Huty zaczynają w coraz większym stopniu stawać się ośrodkiem naszego zainteresowania — obywatelskiego, patriotycznego i równocześnie osobistego. A kilka najważniejszych spraw Nowej Huty zasługuje na to, by się z nimi jeszcze raz, choćby w najogólniejszym skrócie, zapoznać.

SPRAWA PIERWSZA

Stalowy kręgosłup, czyli to czego nam brakowało

Wychodziła przed wojną w Polsce w sporych nakładach niewielka książeczka w szaro-zielonej oprawie. Urzędy sanacyjne zalecały ją do szkół i bibliotek — a powinny były ją przesładować, niszczyć, palić. Książeczką tą był „Mały Rocznik Statystyczny” — wydawnictwo, które słupkami obojętnych liczb dawało odpowiedź na najbardziej nieobojętne pytania.

Proste zestawienia informowały nas, że Polska w roku 1913 (w późniejszych granicach) zajmowała w produkcji stali siódme miejsce na świecie, by w dwadzieścia lat później spaść na jedenaste miejsce, a w przeddzień wojny na trzynaste. Nie tylko dlatego, że nas inne państwa przścignęły, ale również z tego powodu, że przez cały okres rządów sanacji nasza produkcja stali nie osiągnęła ani razu wskaźników roku 1913.

W ciągu dziesięciolecia 1928 — 1938, kiedy nawet tak ostro dotknięte kryzysem państwa kapitalistyczne, jak Anglia, Czechosłowacja czy Belgia — potrafiły zwiększyć nieco swą produkcję stali — w Polsce wskaźnik ani drgnął. W przeddzień tragicznego września roczna produkcja stali na głowę ludności przekroczyła w Niemczech 250 kilogramów, w Polsce — nie sięgała nawet 45 kg. Suche tablice „Rocznika” były znakomitą uzupełnieniem hałaśliwych deklaracji o „mocarstwowości”...

Brak stali nie był — rzecz jasna — jedyną przyczyną naszej nędzy i klęsk, ale był przyczyną ważną i bardzo symptomatyczną. Żaden silny organizm gospodarczy nie może obejść się bez stalowego kręgosłupa — myśmy tego kręgosłupa nie mieli. Wykrzywiła się, koślawiła nasza ekonomika, jak tknięta krzywicą.

Tak było wtedy.

Dziś, studiując wskaźniki naszego rozwoju ekonomicznego, zauważymy bez trudu bardzo charaktery-

styczne zjawisko: spośród wszystkich podstawowych dziedzin produkcji najszybszy wzrost wykazuje produkcja stali. To zrozumiałe. Nasza gospodarka rozwija się w najbardziej zdrowy, racjonalny sposób — od stalowego kręgosłupa. Samochody Żerania i kombajny węglowe, statki gdańskich stoczni i nowe linie kolejowe, wielkie turbiny i precyzyjne obrabiarki — wszystko to zaczyna się od stali. Bloki mieszkalne i żyłетки, metro i tanie rowery, maszynki do mięsa i obrotowe sceny w teatrach — w nieskończoność można mnożyć dziedziny, które dadzą się podciągnąć pod jeden mianownik: „więcej stali”.

SPRAWA DRUGA

Stare czy nowe, czyli obie drogi są dobre

Więcej stali — a jak do tego dojść? Problem ma na pozór jedno tylko proste rozwiązanie. Mamy przecież już dziś niemało hut, a w nich wykwalifikowanych, ofiarnie pracujących hutników. Jeśli nam trzeba więcej stali, powinniśmy istniejące huty rozbudować, unowocześnić, zaopatrzyć w najdoskonalsze urządzenia. I wtedy stal popłynie szerszym potokiem.

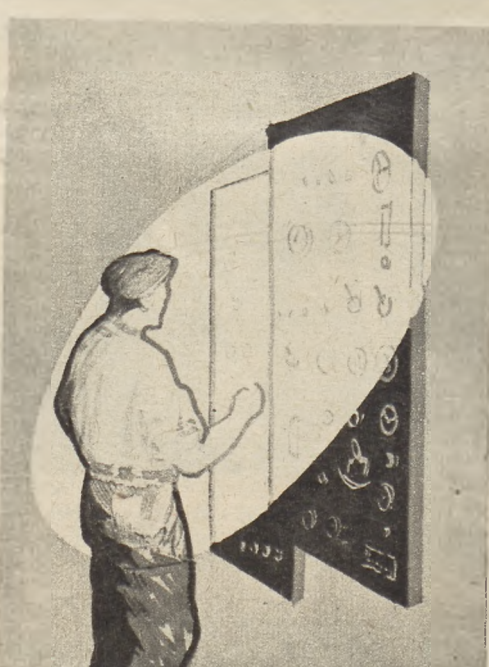
Mamy już w tej dziedzinie sukcesy. Większe są dziś huty „Pokój”, „Zgoda”, „Stalin”, rozrosły się potężnie „Bobrek” i „Kościuszkę”, rozwija się ogromnie huta imienia Bolesława Bieruta w Częstochowie. Problem wydaje się już rozwiązany — ale tak przecie nie jest.

PRACA WALCOWNIKA

W starych hutach



W Nowej Hucie



Każda — najnowocześniejsza choćby rozbudowana — stara huta nosić będzie mniej lub więcej dostrzegalne piętno owej „starości”. Stare hale pozostaną ciemne, stare linie komunikacyjne — wąskie i niewygodne, stare rozmieszczenie obiektów — chaotyczne. Dobudowanie nowych jednostek hutniczych poprawi ten stan, ale go nie zmieni całkowicie. Stara huta i po rozbudowie nie będzie tak sprawnie, harmonijnie pracującym organizmem, jak huta nowa, budowana od początku z uwzględnieniem najnowszych osiągnięć myśli technicznej.

Dlatego przy wyborze kierunku rozwoju naszego hutnictwa nasze władze nie mogły sugerować się widocznymi korzyściami, płynącymi z rozbudowy hut istniejących. Taki kierunek jest dobry — ale nie jest jedynym dobrym kierunkiem. Trzeba już dziś myśleć o drugim kierunku rozwojowym — budowie nowych obiektów. To może sprawa trudniejsza, większego żądająca wysiłku — ale to sprawa przyszłości, to dalekosieżne spojrzenie w jutro naszej gospodarki. Bo przyszłość — to właśnie nowe i zarazem najnowocześniejsze zakłady hutnicze.

I to jest przyczyna, dla której — nie zarzucając rozbudowy hut istniejących — budujemy Nową Hutę.

SPRAWA TRZECIA

Od czego zacząć, czyli człowiek na pierwszym planie

Budujemy Nową Hutę — ale jak? Od czego zaczynamy? Można rozpocząć na przykład w ten sposób — a niejedna huta tak się narodziła — że stawiamy najpierw walcownię, która będzie przerabiała stal z innych hut. Później można dobudować piece martenowskie, wytapiające stal ze sprowadzonej surówki. Stopniowo dobudowuje się coraz nowe obiekty, z czasem powiększa się istniejące...

Dobry sposób? Ani trochę! Dlaczego więc tak budowano? Z prostego powodu: taka metoda pozwala właścicielowi osiągnąć dochód już po uruchomieniu pierwszej walcowni czy pierwszego marteny. Zaś z punktu widzenia interesów gospodarki narodowej, interesów człowieka — jest jawnym nonsensem. Zaczyna się bowiem od tego, że załoga huty musi dojeżdżać lub docho- dzić do pracy niekiedy wiele kilometrów. Transport obciąża się przewozami z jednej huty do drugiej. Przy rozbudowie trzeba przerabiać linie komunikacyjne, rozszerzać siłownię, przebudowywać agregaty — setki zmian, które opłacają się porastającemu w piórka kapitałowi, ale dla ekonomiki narodowej są niczym innym, jak stratą — czasu, środków, sił.

Nową Hutę buduje się inaczej. Zaczęto — pamiętamy to doskonale wszyscy — od miasta. Wzniesiono i wznosi się domy mieszkalne, kluby, sklepy, boiska sportowe dla budowniczych i hutników, szkoły i żłobki dla ich dzieci. A więc — człowiek na pierwszym planie. Później przystąpiono do budowy kombinatu. I to w sposób przemysłowy, nie od obiektów, dających najszybciej dochód. Najpierw uruchomiono się te obiekty, które bezpośrednio biorą udział w dalszej rozbudowie kombinatu. Na pierwszy ogień poszły więc piece elektryczne, zbrojarnia i ciesielnia, warsztaty mechaniczno-remontowe, zakłady materiałów ogniotrwałych. One to są, lub będą w krótkim czasie, najbliższymi dostawcami dla budowy kombinatu. Zbudowano kilkaset kilometrów kolei i szos. Nie wszystkie są już wykorzystywane — ale później byłoby je znacznie trudniej budować. Buduje się wodociągi dla nieistniejących jeszcze wielkich pieców i linie wysokiego napięcia z wznoszonej dopiero siłowni. Wszystko jest tak wyliczone, że nie trzeba będzie niczego przerabiać, dobudowywać czy rozkopywać.

I rzecz najważniejsza — przy wykończonych obiektach staną od razu wykształceni, wykwalifikowani hutnicy.

SPRAWA CZWARTA

Pięćsetkilometrowa szkoła, czyli ludzie z jutrzejszym adresem

Hutnicy nie rodzą się na przysłowiowym kamieniu — zwłaszcza tak wysoko kwalifikowani, jacy będą pracować w kombinacie Nowa Huta. Toteż o przygotowanie kadry dla kombinatu należało zatroszczyć się wcześniej. Tak też uczyniono. Dla budowniczych stał się wielką szkołą sam teren budowy miasta i kombinatu. W ciągu dwóch lat ubiegłych zdobyło tam kwalifikacje ponad osiem tysięcy osób, rok bieżący da jeszcze pięć tysięcy wykwalifikowanych robotników budowlanych.

Przyszli, zaś hutnicy — pracownicy kombinatu kształcą się w niezwyklej szkole, której poszczególne klasy są odległe od siebie niekiedy o pięćset kilometrów. Nie ma w tym ani krzty przesady: przyszła załoga Nowej Huty kształci się w istniejących hutach i innych zakładach przemysłowych w całej Polsce — w Siemianowicach i Warszawie, Chorzowie i Szczecinie, w Będzinie i Elblągu. W tej chwili ludzie ci mają bardzo rozmaite adresy, ale jutrzejszy mają jeden: Nowa Huta. Równocześnie z oddawaniem do użytku nowych obiektów kombinatu przybywać będą na swe nowe miejsce pracy wykwalifikowani specjaliści. Praca w kombinacie uważana będzie za wyróżnienie — i to zobowiązuje przyszłą załogę Nowej Huty do starannego przygotowania.

Oprócz tych szkół istnieje jeszcze swojego rodzaju „uniwersytet”: wielu przyszłych pracowników kombinatu, zwłaszcza inżynierjno-technicznych, kształci się obecnie w Związku Radzieckim — nie na uczelniach, ale w najnowocześniejszych hutach. Nowe metody pracy, udoskonalenia techniczne, obsługa automatyzowanych urządzeń i mechanizmów — wszystko to, co dla naszego hutnictwa jest nowością i rewelacją — stosuje się już w radzieckich hutach. Dlatego ogromne znaczenie ma przeszkolenie naszych fachowców w ZSRR, tym więcej, że przecież instytuty radzieckie opracowały dokumentację dla naszej Nowej Huty, a zasadniczą część nowoczesnego sprzętu mechanicznego produkują radzieckie zakłady.

SPRAWA PIĄTA

Kombinatyżacja, czyli nic nie śmie się zmarnować

Wspominaliśmy przedtem o korzyściach, jakie daje budowa nowej huty od podstaw, budowa według z góry nakreślonego planu. Celowo pominęliśmy jedną stronę

tego zagadnienia, zasługuje ona bowiem na osobne omówienie.

Otóż przy budowie Nowej Huty zostanie w pełni — chyba po raz pierwszy w naszym przemyśle — zastosowana kombinatyzacja. Długie to i niezbyt piękne słowo, ale kryją się za nim niezmiernie wartości.

Cóż to znaczy „kombinatyzacja”? Zasadniczym jej celem jest takie zestawienie poszczególnych zakładów i działów produkcyjnych, aby wyrób jednego z nich był równocześnie produktem wyjściowym, surowcem następnych. Tak więc do Nowej Huty płynąć będą dwa wielkie strumienie — węgla i rudy. Węgiel trafi głównie do baterii koksoowniczych, najmniej zaś wartościowa jego część — do siłowni. Ruda zaś, po wzbogaceniu w aglomerowni spotka się w wielkich piecach z koksem, który opuści baterie koksoownicze. Z wielkich pieców popłynie surowka do pieców martenowskich, skąd już w postaci stali pójdzie jako surowiec na zgniatacz, do walcowni blachy i innych, do warsztatów mechaniczno-remontowych. A wszystkie te zakłady będą korzystały ze znajdującej się również na miejscu wielkiej wytwórni materiałów ogniotrwałych.

To jest cel zasadniczy. Celem zaś dodatkowym — który zresztą w Nowej Hucie poważną odegrać ma rolę — jest maksymalne i jak najracjonalniejsze wyzyskanie wszystkich produktów ubocznych i odpadkowych. Nowa Huta nie będzie sprowadzała złomu — wykorzystane będą wszystkie odpadki przy przeróbce stali. W Nowej Hucie będą w pełni wyzyskane gazy — wielkopieczowy i koksoowniczy; uzupełnią one bilans energetyczny kombinatu. Żużel z wielkich pieców, który w innych hutach wyrasta w niepotrzebne nikomu hałdy — będzie w Nowej Hucie surowcem dla miejscowej cementowni. Produkty uboczne, otrzymywane przy produkcji koksu — będą produktem wyjściowym zakładów chemicznych, które wznosi się obecnie na terenie kombinatu. I tak ze wszystkim... Nawet gorąca woda z elektrociepłowni w kombinacie nie zmarnuje się — kierowana będzie do mieszkań miasta Nowa Huta.

Nie trudno obliczyć, że kombinatyzacja Nowej Huty będzie źródłem wielomilionowych oszczędności dla gospodarki narodowej.

SPRAWA SZÓSTA

Drabinka postępu, czyli kilka słów o rozmiarach

Wielkie piece — te, w których z rudy wytapia się metal — nazywają się wszystkie „wielkie”, ale mogą być większe i mniejsze. Wydajniejsze są piece większe, ale trudniej je budować i wymagają one większego stopnia mechanizacji. Dlatego postępy budowanych wielkich pieców mogą być w pewnej mierze wskaźnikami postępu technicznego.

Popatrzmy na ten wskaźnik w naszym hutnictwie.

Przed wojną przeciętny wielki piec w polskich hutach miał wydajność 200 ton surowki na dobę. Wzniesione niedawno piece „B” i „C” w hucie „Kościszko” są kilka razy wydajniejsze. Wykańczane obecnie wielkie piece huty im. Bolesława Bieruta biją „Kościszkę” o kilkadziesiąt ton. Niektóre zaś wielkie piece Nowej Huty będą miały wydajność wielokrotnie większą, niż przeciętne piece przedwojenne. Oto swoista, drabinka postępu technicznego w jednej tylko dziedzinie.

Podobnie rzecz się ma z piecami martenowskimi, w których wytapia się stal. Najmniejsze marteny w Nowej Hucie będą dawały kilka razy tyle stali, co marteny w starych hutach. Walcownia-zgniatacz (tzw. blooming) kombinatu Nowa Huta będzie znacznie wydajniejsza od naszej obecnej chluby — potężnego zgniatacza w hucie „Bobrek”. Inne walcownie będą dzięki automatyzacji osiem razy wydajniejsze, niż podobne zakłady w starych hutach.

W parze z wielkością idzie mechanizacja. Wielkie piece Nowej Huty będą obsługiwane przez pięć razy mniej liczne załogi, niż wielkie piece znacznie mniejszych rozmiarów w starych hutach. Cały proces transportu i załadunku na terenie kombinatu będzie się odbywał przy pomocy maszyn. Warto zaznaczyć przy tym, że łączna długość wszystkich przenośników na terenie Nowej Huty będzie nie mniejsza, niż odległość kombinatu od centrum Krakowa.

Walcownie w Nowej Hucie będą ciągle — to znaczy, że obrabiany metal, nietknięty ręką ludzką, przechodzić będzie automatycznie z walcu na walec.

Obliczono, że hutnik w kombinacie Nowa Huta będzie przeciętnie produkował w ciągu dniówki trzy i pół raza więcej stali, niż hutnik w unowocześnionych i rozbudowanych hutach starych. Ta liczba mówi wiele. Ale nie mówi jeszcze wszystkiego.

SPRAWA SIÓDMA

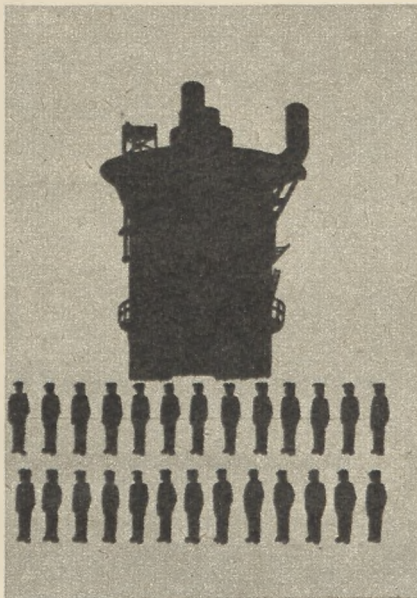
Nowe warunki, czyli znów człowiek na pierwszym planie

Praca w walcowni nie raz przyciągała uwagę artystów — pisarzy, plastyków, fotografów... Obnażony do pasa robotnik chwytając szczypcami ognistego węża ze stali, jednym szybkim ruchem rąk i zwrotem tułowia wkłada rozgrzany metal między walce. Chwila przerwy i już pełnię następnego stalowego węża...

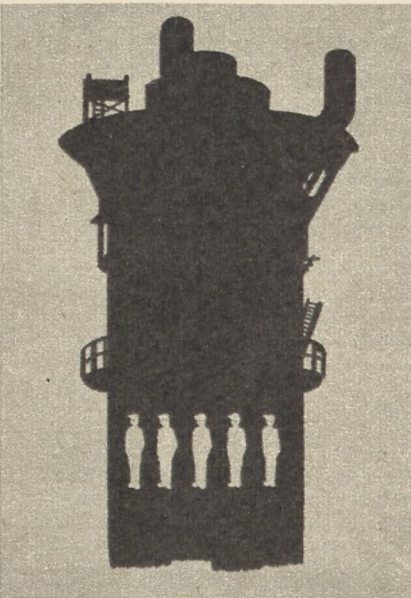
Wygląda to pięknie, ale ileż kosztuje wysiłku! Zupełnie inaczej wyglądać będzie praca walcownika w Nowej Hucie. Wyłączone zostaną z tej pracy mięśnie — ich funkcje wezmą na siebie skomplikowane mechanizmy.

ROZMIARY WIELKICH PIECÓW I LICZEBNOŚĆ ZAŁOGI

W starych hutach



W Nowej Hucie



Obserwowanie ruchu wskazówek na tablicach rozdzielczych, przesuwanie dźwigni, naciskanie guzików — tak będzie wyglądać obsługa agregatów nowoczesnej walcowni w Nowej Hucie.

Przy wielkich piecach — to samo. Zresztą zestawienie cyfr: wielokrotnie większa wydajność i pięciokrotnie mniejsza załoga — mówi za siebie. W koksowni — kierowanie pracą ogromnej baterii z jednego punktu dyspersyjnego. Przy zgniataczu — pełna automatyzacja.

Twórcza myśl radzieckich konstruktorów i budowniczych pozwoli naszym hutnikom pracować nie tylko wielokrotnie wydajniej, ale i znacznie łatwiej, przyjemniej. O zdrowie i wygodę człowieka troszczyć się będą specjalne urządzenia. Pomieszczenia będą podwójnie wentylowane — przez odciąganie zużytego powietrza i wtłaczanie świeżego. Szeroko stosowana będzie klimatyzacja. Niewidzialne drzwi z ciepłego powietrza pozwolą zachować w halach latem i zimą odpowiednią temperaturę.

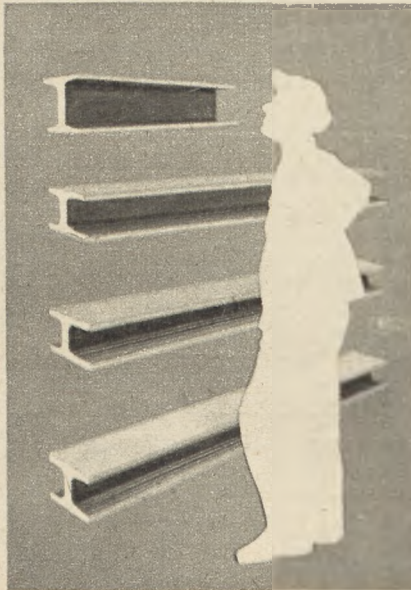
Dymy z koksowni — to bicz nie tylko wielu zakładów, ale i ich najbliższych okolic. Wiedzą o tym dobrze mieszkańcy Górnego Śląska i Wałbrzycha... Koksoownie

PRODUKCJA STALI NA JEDNEGO HUTNIKA

W starych hutach



W Nowej Hucie



Nowej Huty dzięki specjalnym instalacjom pracować będą bez dymu. I takich przykładów można znaleźć na terenie kombinatu dziesiątki.

SPRAWA ÓSMA

Stal nie za górami, czyli gigant rośnie w oczach

Najpobieżniejszy nawet przegląd tego nowego, co rosnący pod Krakowem kombinat wnosi do naszego przemysłu — pozwala na zorientowanie się, jaką rolę będzie odgrywała Nowa Huta w rozbudowie gospodarczej Polski.

Nie wystarczy ograniczyć się do stwierdzenia, że Nowa Huta stanie się największym i najwyszczególniejszym producentem stali w Polsce. Trzeba jeszcze stale pamiętać, że kombinat ten będzie równocześnie najważniejszym obiektem naszego przemysłu. Nigdzie bowiem nie zastosowano u nas tak racjonalnych metod budowy wielkiego zakładu, nigdzie nie skupiono takiej ilości najnowocześniejszych maszyn i urządzeń, nigdzie nie udało się jeszcze osiągnąć tak wysokiego poziomu organizacyjno-technicznego. Przytoczone powyżej najważniejsze dane i wskaźniki są tego przekonującym dowodem.

Nowa Huta stanie się ośrodkiem, skąd na cały kraj promieniować będzie wiedza techniczna, ośrodkiem, który niewątpliwie odegra rolę kuźni udoskonaleń, nowych metod, nowych pomysłów racjonalizatorskich. Będzie szkołą, kształcącą przy nowoczesnych urządzeniach kadrę hutniczą dla rozbudowanych innych zakładów.

A nie zapominajmy o stali Nowej Huty. Dzień, w którym kombinat stanie się jednym z głównych ogniw naszego hutnictwa, już nie za górami. W niedługim czasie zaczną produkować podstawowe wydziały Nowej Huty: zakłady materiałów ogniotrwałych, siłownia, połowa baterii koksoowniczych i wielkich pieców, połowa martenów, walcownia-zgniatacz, walcownia blachy...

Nowa Huta już za dwa lata zajmie poważne miejsce w naszej gospodarce — już nie jako odbiorca, ale producent. W roku 1955, kiedy nasze huty dadzą krajowi po-

nad cztery i pół miliona ton stali, piece Nowej Huty dostarczą poważny odsetek tej ilości.

Ale to będzie początek. Na dalszym etapie rozbudowy jedna Nowa Huta da półtora miliona ton stali.

SPRAWA DZIEWIĄTA

Czas teraźniejszy, czyli obowiązek całego narodu

Dotąd mówiliśmy o Nowej Hucie niemal wyłącznie w czasie przyszłym. Ale to jutro Nowej Huty, które napa- wa dumą każdego Polaka, rodzi się teraz, dziś, co godzinę i co minutę.

Kombinat rośnie jak skomplikowany organizm i każdy stracony dzień na jednym odcinku odbija się wielokrotną stratą na dziesięciu innych.

Po okresie początkowych trudności dwudziestotysięczny zespół budowniczych kombinatu okrzepł, „dostał się”. Dziś najważniejsze zależy od dostaw. Nieprzerwanym potokiem płynie sprzęt ze Związku Radzieckiego. Dźwigi pracują bez przerwy — na rampach kolejowych pojawiają się precyzyjne prasy dla wytwórni materiałów ogniotrwałych, części kotła dla siłowni, ogromne transformatory, silniki dla zgniatacza, urządzenia dla baterii koksoowniczych, aparaty sterownicze walcowni, suwnice dla pieców elektrycznych... Transporty przychodzą z przykładną dokładnością — ściśle w terminie.

Ale dla Nowej Huty pracuje także sto przedsiębiorstw w czterech województwach naszego kraju. I do niedawna budowniczym kombinatu mieli do każdego niemal z tych zakładów uzasadnione żale. Co tu dużo mówić — transporty przychodziły nieregularnie, często z poważnymi opóźnieniami. Nie wszędzie załogi fabryk zdawały sobie sprawę, że wykonywanie zamówionych dostaw dla Nowej Huty, to nie tylko obowiązek, ale i zaszczyt. Wtedy właśnie uchwała Prezydium Rządu przypomniała całemu narodowi, a przede wszystkim „spóźniałskim”, że jest to obiekt najważniejszy i najbardziej kluczowy w naszym socjalistycznym budownictwie.

I tak właśnie będziemy traktować Nową Hutę aż do dnia, kiedy załoga budowniczych ostatniego agregatu w ostatnim wydziale zamelduje Prezesowi Rady Ministrów: „Uruchomiliśmy przed terminem...”

NA POŁUDNIE OD BABIEJ GÓRY

WODA podnosi się z godziny na godzinę i domy, położone w dolnej części wsi, są już całkowicie pod wodą — widać jeszcze tylko dwie wieżyczki kościelne. Tu, na zbocze górskie, woda się jeszcze nie wdarła. Wiatr północny, dmący od rysującej się na bliskim horyzoncie Babiej Góry, hula tymczasem po opustoszałej wsi, łomocąc wrotami stodoły. Wchodzę: czysto uprzątnięta, nawet zdżbła słomy nie widać na klepisku. Ubogie, słomą kryte zabudowania mieszkalne zioną pustką — na podłodze poniewiera się tylko jakiś zeszyt, w którym ręka dziecka nagryzmoliła rysunek kur i kogutów; modele do tych rysunków pewnie jeszcze niedawno gdały w dużej klatce na dziedzińcu — zaraz obok budy, gdzie ujadła na pewno tamtejszy Azorek czy Burek. Tymczasem woda podnosi się z godziny na godzinę... Widziałem, jak na skraju wsi fale wody, brudnej od zbieranej z powierzchni lekkiej gleby — zmywają z polnej drogi ślady kół — te najłatwiejsze do zatarcia ślady człowieka; widziałem, jak krótkie, natarczywe fale brudnej wody wlewają się od góry do małej studzienki.

Z daleka słychać uporczywy klakson samochodowy. Trzeba wracać! Trzeba skończyć ten spacer po dnie!

SPACER PO DNE

Przecież wioska, po której wędrowałem, już za kilka dni będzie zupełnie zalana, a za kilka tygodni, gdzieś na przełomie czerwca i lipca, leżeć będzie na dnie „Słowackiego Morza”, wytworzonego ręką człowieka przy tej największej w Europie Środkowej budowlie hydroelektrycznej. Mapy pogranicza czechosłowacko-polskiego — jeśli macie je w domu — już za kilka tygodni będą więc niedokładne. To, co się dzieje za miedzą — u naszych południowych sąsiadów — warto jest poznać i nanieśienia nie tylko na mapy, ale i na świadomość naszą. Chciałbym więc opowiedzieć językiem faktów to, co widziałem na południe od Babiej Góry — tuż nad naszą granicą państwową, do której dotrze wkrótce to „Morze”, rozciągające się na 35 kilometrów kwadratowych i liczące do 30 metrów głębokości. Zapobiegliwi gospodarze już teraz sprządzają zarybek hodowlany ze Szwaj-

carii i Danii, ba, obliczyli nawet, że za trzy lata 100.000 kg szlachetnych ryb pluskać się będzie nad słomianymi strzechami i koronami drzew z dzisiejszych wsi. Oczywiście — planowa gospodarka rybna i przygotowania do budowy osady rybackiej u podnóża Babiej Góry (!) — to tylko zupełnie marginesowa strona tej wielkiej budowy, zmieniającej mapę fizyczną i gospodarczą tej części Europy. „Orawska Zapora” jest bowiem tylko częścią wielkiego systemu, rozwiązującego sprawy znacznie bardziej zasadnicze.

ZAPORY NA RZEKACH...

W „Cudownej podróży” Selmy Lagerloef mały chłopiec unoszony przez dziką gęś ogląda z góry swój kraj. Gdyby spojrzeć z lotu ptaka na Czechosłowację, to dostrzeżlibyśmy na jej rzekach dziwne, gigantyczne budowle — aż dwadzieścia tam przegradza w tej chwili drogę śpieszącej ku morzu wodzie. Ludzie — niegdyś bezsilni wobec żywiołów — dziś bezceremonialnie przesuwają góry oraz zapędzają do roboty wodę i ogień — nazwali te budowle „gottwaldowskimi schodami pokoju”. Trudno o bardziej obrazowe określenie; gdybyśmy bowiem spojrzeli z wysoka np. na rzekę Wag, to ujrzelibyśmy aż 12 stopni tych schodów — 12 tam połączonych z elektrowniami, na których z woli Klementa Gottwalda woda pracuje dla pokoju. Betonowe kajdany zostały też założone na wartki nurt Orawy, rzeki wijącej się wśród skał, nim wleje swe wody do Wagu.

Kapryśną rzeką była Orawa — niepewną i nieobliczalną. Od wieków pewne było tylko to, że co wiosnę niosła człowiekowi zagładę i zniszczenie; gdy na stokach Babiej Góry i okolicznych wzgórz tajał śnieg — Czarna i Biała Orawa wpadały sobie w zimne i wilgotne objęcia i razem niszczyły chłopskie zasiewy, razem znosiły mizerne, drewniane mostki. Gdy Orawa wracała wrzście do swego koryta, to zostawiała na polach kilkusetmetrowe zagony żwiru uniemożliwiającego dalszą uprawę. Ludzie bali się rzeki. Już przed 60 laty próbowali przysłać przez Wiedeń węgierscy inżynierowie zmusić rzekę, aby się usatkwowała — ale Orawa, piękna, bystra i groźna, wyśmiała tylko ich próby.



Z godziny na godzinę wzbiera woda u podnóża Babiej Góry, tworząc sztuczne „Morze” o powierzchni 35 km kwadratowych. Powstaje tu zbiornik wodny na okres posuchy a także prowadzone będzie gospodarstwo rybne. Za trzy lata 100.000 kilogramów szla-

...TO WOLNOŚĆ DLA LUDZI

Dopiero po roku 1948 prace ruszyły naprawdę naprzód i w maju br. zapora została zamknięta. Zapomnij, Orawo, o twej burzliwej młodości! Teraz już nie będą ci zezwalać na powodzie — teraz musisz na tym miejscu produkować „biały węgiel” za 100 milionów koron rocznie.

Zapora na Orawie jest kluczową częścią „Wagostroju”, gdyż jest najwyższym stopniem „gottwaldowskich schodów”, i ona to na czas posuchy ma magazynować wodę i wydzielać ją dla swych jedenastu sióstr w dole rzeki, które razem, we wspólnym mozole (wody — nie człowieka!) dostarczą Słowacji 4 miliardy kilowatogodzin rocznie. Ponieważ ani Wy, ani ja nie widzieliśmy nigdy takiej cyfry na naszym domowym liczniku elektrowni, więc powiem to inaczej: gdyby nasi sąsiedzi chcieli wyprodukować taką ilość prądu w elektrowni ciepłej, to musieliby do niej dowieźć 400.000 wagonów węgla. Nawiasem mówiąc budowana obecnie elektrownia ciepła w Zemianskich Kostelanach wytwarzać będzie więcej prądu niż dziś wszystkie razem wzięte elektrownie słowackie. Od roku 1955 sama Słowacja produkować będzie więcej prądu niż całe przedwojenne państwo czechosłowackie, które przecież było w pierwszej dziesiątce uprzemysłowionych krajów świata.

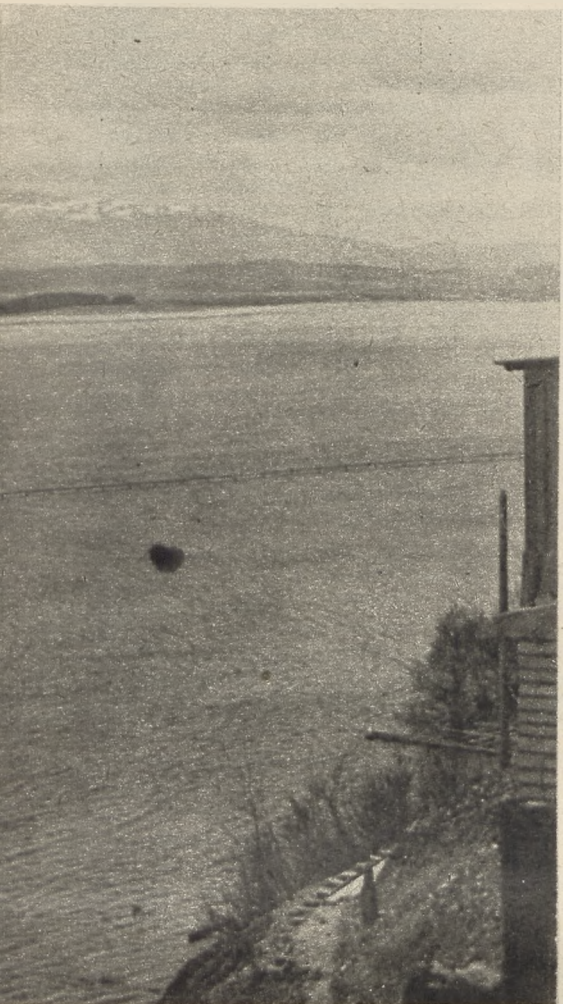
Po co tyle prądu? Słowacja jest obecnie szczególnie intensywnie uprzemysłowiana — aby naprawić krzywdę, jaką wyrządził jej ustrój kapitalistyczny, skazujący ją na rolę rolniczego zaplecza Czech. Realizuje się testament polityczny Klementa Gottwalda, którego zdaniem „zniesienie różnic między dzielnicami czeskimi a Słowacją jest nie tylko jednym z celów socjalizmu w naszym kraju, ale też nieodzownym warunkiem jego zwycięstwa”.

WOLA I WAG

Ma się tę wolę zmarłego prezydenta przed oczyma, gdy wspaniałymi szosami samochód jedzie od granicy polskiej ku Bratysławie — nad granicę Austrii, przemierzając Słowację. Gdy zmrok zapada, raz po raz wśród winnic i spokoj-

Zapora na rzece Orawie w Czechosłowacji — tuż nad granicą polską, jest częścią składową największej budowlie hydroelektrycznej w Europie Środkowej. Budowa zapory, dochodzącej do 30 metrów wysokości, pochłonięła 220.000 metrów sześciennych cementu. Ze spiętrzenia wód — powstaje „Morze Słowackie”, które za kilka tygodni dotrze do naszych granic.





nych wsi doliny Wagu, jarzą się coraz to nowe światła. W swych wodach, mknących ku Dunajowi, Wag odbija coraz częściej luny fabryk już pracujących i tych, które są w budowie. Iskry przyrządów spawalniczych, zasypujące stalowe konstrukcje w tej nigdyś tak zao-fanej części kraju — zapowiadają inne jutro Słowacji, która w tym roku osią-gnie pięciokrotną produkcję przemysłową w stosunku do roku 1937 i której ciężki przemysł już w końcu roku 1952 wytwa-rzał 628% słowackiej produkcji w tej dziedzinie z roku 1937. Tegoroczny p r z y r o s t produkcji przemysłowej w Słowacji przewyższy całą produkcję przemysłową tego kraju w roku 1937! Po zakończeniu budowy kombina-tu metalurgicznego we wschodniej Słowacji, produkcja stali będzie w Słowacji wyższa na głowę mieszkańca niż w Anglii, a Czechosłowacja zajmie wtedy szóstą miejsce wśród światowych pro-ducentów tego metalu.

Na te właśnie budowy — i na wiele innych — popłynie prąd z „Wagostroju“. Już w lecie pozaczepiane kunsztownie na stalowych słupach kable wysokiego napięcia przeniosą na południe, ku hutom i fabrykom, ku wsiom i miastom — ujarzmią siłę górskich rzek, które od Babiej Góry aż do Dunaju napotykały w swej wędrówce 12 stopni „gottwaldowskich schodów“ i na każdym z nich, pieniąc się w pasji, kręcą zawrotnym wirem koła turbin. Inne słupy poniosą na swych stalowych ramionach życiodajny prąd elektryczny ku północy — ku Polsce. Sąsiedzka współpraca dostarczy na drucie siłę i światło osadom naszego pogranicza.

NA ZAMKU ORAWSKIM

Te strony, gdzie teraz wzbierają wody Słowackiego Morza", jęczały przez wie-



Zapora na Orawie i połączona z nią elektrownia — dadzą prąd nie tylko Czechosłowacji, ale także i pobliskiej Polsce. Elektryfikacja Słowacji jest warunkiem uprzemysłowienia tej upośledzonej przed wojną przez kapitalistów części kraju.

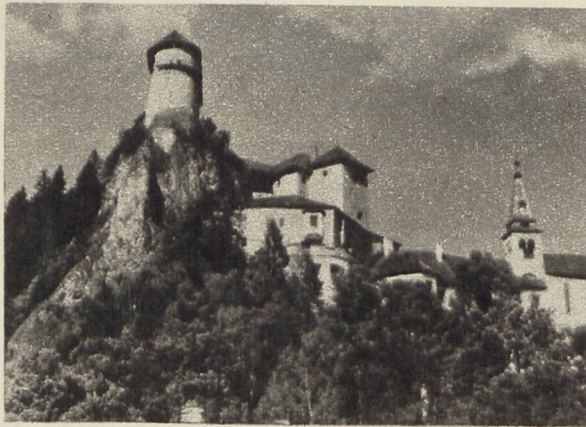
Są na zamku początki muzeum regionalnego. Macie tam i pamiątki po Janosiku, który przyszedł na nasz świat w niezbyt oddalonej wsi Terhova — a zszedł z tego świata, powieszony na haku „za pośrednie zbrodnie” przy mście na Wagu. Ze ścian patrzą portrety węgierskich wielkich pań i wielkich panów. Amatorzy panopticum zobaczą wypchane cielaki z sześcioma nogami oraz trzy i półmetrową kukurydzą bez kłosa, która tu obrodziła w roku 1940. Najwięcej jednak dają do myślenia niepozorne eksponaty z bardzo niedawnej przeszłości, nie zwracające niczyjej uwagi, w małej salce północnej baszty. Są tam więc kapelusze z hubki, noszone przez miejscową biedotę, których waga — gdy nasiąkły deszczem — dochodziła do dwudziestu kilo. Macie też tam całe sceny religijne zestawione w butelkach o wąskich szyjkach. Elementy precyzyjnie wystrugane wrzucano do butelki i tam, długimi szczypcami, klejono je, dopasowywano i przymocowywano do dna. Jedna butelka — kilka lat pracy. „Ludzie mieli czas” — powiecie. Tak, mieli czas — bo nie mieli pracy. Głodowali i wierzyli, że taka dłuhanina, taka próba cierpliwości zmieni ich los. Jedni budowali w butelkach — gdy nie mogli na swej ziemi, inni — wyjeżdżali za chlebem, kiedy brakło go w Słowacji. Pracowali więc Słowacy w stalowniach Pittsburga —

gdyż nie było roboty w ojczyźnie, prowadzili szlaki kolejowe przez pampasy Ameryki Łacińskiej — miast przez własne góry i doliny, hodowali owce w Australii — gdy upadała hodowla na karpackich połoninach. Wielu z nich teraz wróciło.

RTEĆ W DÓŁ — PLAN W GÓRĘ

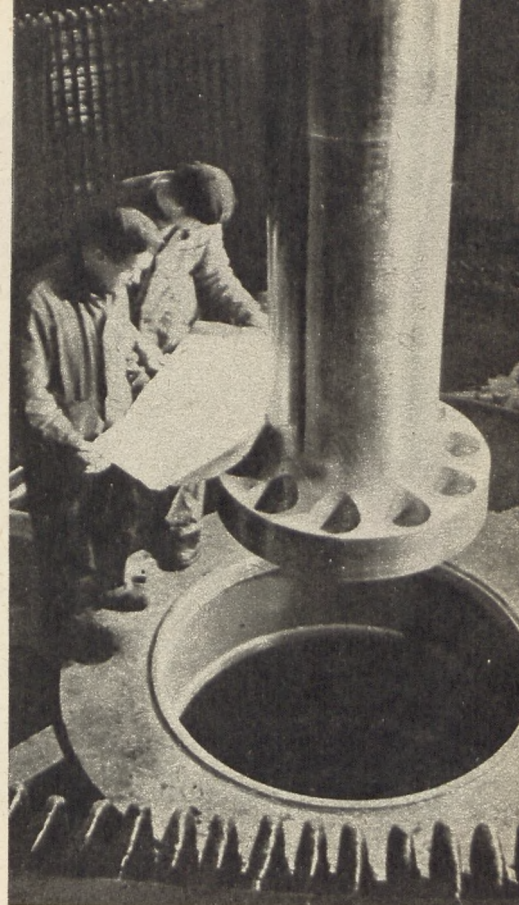
Na budowie zapory spotkałem jednego z tych reemigrantów: prowadził mnie przez wykute w betonie krużganki, w które człowiek wprowadzać będzie wodę ze „Słowackiego Morza“, aby dla pracowników

Dzuroska za wybitne zasługi przy budowie zapory dostał wysokie odznaczenie państwowe. Jeżeli pokonacie jego małomówność, to opowie o dwóch klęskach żywiołowych w jego życiu. Naj-



Z takich zameczków węgierscy wielmoże zarządzili krajem. Teraz w salach tego zamku mieści się muzeum z pamiątkami ponurej przeszłości Słowacji.

pierw więc zniszczył go żywioł-ogień, który strawił kilkanaście domów jego rodzinnej wsi: czerwony kur skałał sobie swobodnie po słomianych strzechach. „Co można było zrobić, gdy człowiek ocalił tylko nagie życie?“ Milczymy przez chwilę obaj — a potem on mówi, że przez kilkanaście lat był parobkiem na fermie w Australii. Potem, już na bu-dowie, chciał go zniszczyć żywioł-woda. „To było pewnej czerwcowej nocy 1948 roku. Nagły przybór zawalił nam ścianę na froncie pięćdziesięciometrowym“.



Ofiarność robotników (na zdjęciu — montaż elektrowni) umożliwiła wykonanie zapory na rok przed terminem.

NOWE GNIAZDA WĘDROWNYCH PTAKÓW

Zatrzymano więc wodę i zalano ska-
zane wsie. „Ptaki wędrowne, które wró-
ciły na wiosnę, krążyły długo i długo
nad wzbierającą wodą, nie mogąc odna-
leźć gniazd dawnych” — powiedział mi
jeden z robotników na Orawskiej Zapo-
rze. „Rozczuła się nad ptakami — a co
się stało z ludźmi?” — oburza się na
mnie Czytelnicy.

Ileż to było płaczu i narzekkań, gdy astmatyczny samowarek, ciągnący wtedy wagoniki, dziś już zelektryfikowanej kolejki górskiej, przyciągnął także i ambulans pocztowy; w tym ambulansie — była poczta z Pragi. A w tej poczcie był list do wójta. A w tym liście — zawiadomiano mieszkańców, stawiano termin. Otarto łyż, ustały narzekania, gdy dowiedziano się bliższych szczegółów. Zapanała radość — gdy zapowiedź stała się rzeczywistością.

Otóż 6 wsi powędrowało w górę (mieszkańcy żywi i mieszkańcy zmarli). Ludzie żywi pozamieniali swe biedne chałupki na kurzych nóżkach na murowane i skanalizowane domy. Wiejskie dróżki zamienili na 36 km betonowych szos, drewniane kładki — na stalowe mosty. Rząd ekshumował wszystkich leżących na trzech cmentarzach — na jeden wspólny, położony zdale od wzbierającej wody, wysoko w górach, tam, gdzie nie zamąci spokoju zmarłych ta sama woda, która odbierała im spokój za życia.

Na południe od Babiej Góry, tam, gdzie zapory z betonu zatrzymały płynące od wieków wody rzek i lży ludzi, w szumie palników acetylenowych, w warkocie śpieszących z budulcem kolumn samochodowych, w rytmicznym klekotaniu pierwszej motorówki na falach „Słowackiego Morza“ — dosłyszycie wyraźnie hymn nowej Czechosłowacji, która dała nowe gniazda wędrownym ptakom, tułającym się przez lata całe za chlebem po obcej ziemi.

I niedługo pewnie parostatek krążący po „Słowackim Morzu“ z turystami zwolni biegu i przewodnik powie przez tubę, beznamytnie i spokojnie — jak wszyscy przewodnicy na świecie: „Tu, na dwadzieścia metrów pod nami, leży zatopionych 6 wsi z 850 domami. Ich mieszkańcy przenieśli się w górę. A prąd z naszej elektrowni idzie na całą Słowację — jak również do naszych sąsiadów, do Polski“.

PRZYMIERZE Z WIELKIM PISARZEM

JULIA HARTWIG

PRZED drukarnię im. Rewolucji Październikowej przy ulicy Mińskiej w Warszawie zajechał samochód. Wskoczyło z niego dwu ludzi: jeden pobiegł szybko naprzód, pewno dla załatwienia formalności, drugi bez pośpiechu wspinał się na schody i, podobnie jak jego towarzysz, zniknął za głównymi drzwiami; idąc, trzymał przed sobą obiema rękami teczkę tak delikatnie, jak gdyby chciał w niej przemycić do drukarni jakiegoś niezwykle cennego i rzadkiego ptaka.

W ten sposób przyniesiono przed kilkoma miesiącami do jednej z najnowszych drukarni w Polsce egzemplarz dzieła „O naprawie Rzeczypospolitej” Frycza Modrzewskiego, liczący sobie lat bez mała czterysta. Pierwszy raz po czterystu latach, traktat jednego z najznakomitszych polskich myślicieli i pisarzy politycznych miał być wznowiony i oddany w całości do użytku naukowców, młodzieży uniwersyteckiej i rzesz czytelników. Praca zapowiadała się wielka.

ANDRZEJ Frycz Modrzewski to jedna z najciekawszych postaci polskiego Odrodzenia. Żał, że nie dochował się do naszych czasów żaden portret pisarza, wskutek czego każdy badacz i czytelnik zdany jest na własną wyobraźnię i sam wypełniać sobie musi kształtami renesansowy ubiór Frycza i namalować sobie taki wyraz twarzy między okrągłym nakryciem głowy i noszoną podówczas przez mężczyzn brodą, wspartą na krezie — jaki mu najbardziej odpowiada. Chyba, że zgodzimy się przyjąć za obowiązujący wizerunek Frycza taki, jakim go stworzyła wyobraźnia Jana Matejki: na obrazie „Unia Lubelska” widzimy mężczyznę niemłodego już, z długą brodą, o poważnym wyrazie, który podprowadza ku królowi chłopca w sukmanie. To Andrzej Frycz, autor dzieła „O naprawie Rzeczypospolitej”, jeden z najbardziej postępowych i światłych ludzi swej epoki, zwolennik obozu reformy, bojownik o zrównanie wszystkich stanów wobec praw sądowych, autor licznych rozpraw „O mężobójstwie”, w których domagał się równego wymiaru kary za zabójstwo zarówno dla szlachcica jak i chłopca; zwolennik

Marian Kwintkowski i Stanisław Zakowski przy reprodukcji strony tytułowej dzieła Frycza Modrzewskiego.



Tak wyobraził sobie Andrzeja Frycza Modrzewskiego, autora dzieła „O naprawie Rzeczypospolitej” (De republica emendanda), wielki malarz, Jan Matejko.

niezależnienia państwa od kościoła, ten, który za nic miał pochodzenie i herb szlachecki, a nade wszystko cenił zalety umysłu i charakteru. „Kimże są oni przodkowie?... Czy widzieli, czytali, doświadczili więcej od nas?...”

Choć nie mamy obrazu z epoki, któryby nam ukazał oblicze Frycza — znamy jednak jego losy i losy jego dzieł, jedno z najbujniejszych i najbardziej dramatycznych w naszej historii. Urodzony około roku 1503 w miasteczku Wolborz pod Piotrkowem, w rodzinie drobno-szlacheckiej, wysłany zostaje w świat, potem na uniwersytet krakowski, gdzie zapisuje się w poczet uczniów wydziału sztuk wyzwolonych. Tu kształci się na duchownego, poczem, z nieznanых bliżej przyczyn, przerywa nagle studia i wyjeżdża z Krakowa. Co robił przez następne lata — dokładnie nie wiadomo. Napisze kiedyś o sobie, że po studiach szkolnych zaprowadzono go „na dwór dla kariery”. Już w wieku dojrzałym przebywa na dworze możnej rodziny Łaskich, mieszkającej się na własną rękę do spraw polityki europejskiej, załatwia swym protektorom jakieś sekretne misje w Niemczech, nawiązuje stosunki z bratankiem prymasa Łaskiego, słynnym w całej Europie Janem Łaskim, i przez długi czas oddaje różne usługi temu znakomitemu humaniście. W roku 1537 poznaje w Niemczech słynnego Melanchtona, który nie odmawia mu swej przyjaźni i na odjeździe taki daje list polecający do innej sławy Odrodzenia, Wita Dyterycha: „Trzechletni przeszło z nim pobyt (z Fryczem — przyp. aut.) miłym i pożądanym był mi nietylko z tego powodu, że zamiłowany jest w naukach, które i my kochamy, ale że mnie często w trudnych razach radą wspomagał w przykrych okolicznościach wymową krzepił i uspokajał”.

Po śmierci Erazma z Rotterdamu Frycz wyjeżdża na

zlecenie Łaskiego do Bazylei: ma za-jąć się sprowadzeniem stamtąd biblioteki Erazma, którą bogaty, a zamiłowany w naukach Łaski dawniej już zakupił, pozostawiając ją Erazmowi na dożywotnie użytkowanie. Ciekawa ta misja daje Fryczowi Modrzewskiemu doskonałą okazję do nawiązania stosunków z elitą umysłową Bazylei. Erazm to przecież jeden z najbardziej uwielbianych wówczas ludzi, nie więc dziwnego, że ten, co bibliotekę tego znakomitego humanisty przejmując i będzie miał do niej dostęp — budzi zainteresowanie naukowców i pisarzy. Stosunki nawiązane w Bazylei pozwolą potem Fryczowi wydrukować w drukarniach bazylejskich te dzieła, które w Polsce, być może, nie ujrzałyby prasy drukarskiej.

Zawód pisarza rozpoczął Frycz późno, bo w wieku lat 40. Jak wiadomo, bodźcem do wydania pierwszego dzieła był niepokój, jaki wzbudziły we Fryczu mnożące się podówczas wypadki zabójstw i oburzenie na niesprawiedliwy wymiar kary za te zbrodnie: za zabicie szlachcica płacił szlachcic, według statutu wiślickiego, grzywnien 100 lub 120 i odsiadywał przez 11 miesięcy więz; za zabicie nie-szlachcica płacił szlachcic już tylko 10 grzywnien i więzy nie odsiadywał; chłop za zabicie szlachcica płacił gardłem. W ciągu czterech lat ogłosił Frycz cztery rozprawy, walcząc o zmianę tego nieludzkiego i niesprawiedliwego prawa — bez skutku.

W roku 1546 powołany zostaje Andrzej Frycz na sekretarza królewskiego i jako sekretarz poselstw lub pełnomocnik króla udaje się do różnych krajów, bywa u Krystiana króla duńskiego i u cesarza Karola V, i u Ferdynanda. Poznaje Pragę czeską i Antwerpię, powraca raz po raz do miast i środowisk objętych gorącą wykształcania nowych form życia społecznego, nowych hierarchii moralnych i politycznych. Dysputy religijne zajmują w tej epoce, jak wiadomo, niepoślednią rolę. Modrzewski, który aż do wydania „Sylw” pragnął pozostać na stanowisku katolickim i przed nazwą heretyka się wzbraniał — wraca jednak z tych podróży jako zwolennik licznych reform, a w dziele swym „O naprawie Rzeczypospolitej” domaga się zmian, które w rezultacie podważyłyby poważnie polityczne znaczenie kościoła — feudalnej ostoji reakcji i przemocy w Polsce.

Traktat jego „O naprawie Rzeczypospolitej”, zatytułowany „De republica emendanda” (Frycz Modrzewski pisał bowiem wszystkie swoje dzieła po łacinie), wyszedł po raz pierwszy w Krakowie, od razu okaleczony przez cenzurę, bo bez rozdziałów „O szkole” i „O kościele”. Cenzurą zajmowali się wówczas profesorowie uniwersytetu krakowskiego, przeważnie duchowni, uzależnieni całkowicie od dostojników kościelnych. Następne wydania ukazać się już miały w Bazylei, aż do ostatniego, jakie wyszło za życia autora, w roku 1595. W oparciu o to ostatnie wydanie rozpoczęto prace nad wznowieniem dzieł zbiorowych Frycza, które ukażą się wkrótce w nakładzie Państwowego Instytutu Wydawniczego.

Dzieła Frycza Modrzewskiego, podobnie jak ich autor i w ścisłym związku z jego losem, przechodziły najróżniejsze koleje. Najpierw cztery traktaty „O mężobójstwie”, kolejno wydawane u Wietora, to znów Scharfenberga. Potem cenzura krakowska dzieła „De republica emendanda”. Poza przykrościami związanymi z tą cenzurą, Frycz znosi szykany ze strony kościoła, który chce go zrzucić z wójtostwa w Wolborzu, stanowiącego źródło utrzymania pisarza.

W roku 1561 następuje przykry i niebłahy w następstwie incydent ze znanym pisarzem i polemistą wyznaniowym, Stanisławem Orzechowskim; Orzechowski na-



pada na Modrzewskiego publicznie, ogłaszając go here-
tykiem. Modrzewski odpowiada pismem wydanym
w Pińczowie. Orzechowski napada go powtórnie, zdwa-
żając na pastliwość. Modrzewski broni się broszurą zatytu-
lowaną: „Prosta opowieść o niebywałym zajściu... a za-
razem skarga o skrzywdzenie i żaloba na Stanisława
Orzechowskiego“. Przykra to była dla pisarza sprawa,
zwłaszcza jeśli zważyć, że Orzechowski w młodości
przyjaźnił się z Modrzewskim i zyskał jego poparcie
w walce z wyższym klerem. Teraz jednak Orzechow-
ski przechodzi zdecydowanie na stanowisko watykań-

cińskich Jana Kochanowskiego tłumaczonych przez Le-
opolda Staffa. Ci, którzy na próżno poszukiwali dotąd
w księgarniach pism Reja, otrzymają nowy wybór „Sa-
tyr“ i „Figlików“, poprzedzony „Krótką rozprawą mię-
dzy panem, wójtem i plebanem“. Jednocześnie Państwo-
we Wydawnictwo Naukowe wystąpi ze zbiorowym wy-
daniem dzieł Mikołaja Kopernika. Poważną pozycją bę-
dzie również 6-tomowe dzieło o Odrodzeniu Polskim,
na które złożą się prace członków Polskiej Akademii
Nauk.

Wśród tych i wielu jeszcze innych wydawnictw, zwią-
zanych z okresem Odro-
dzenia, nowe wydanie
dzieł Frycza Modrzew-
skiego zajmuje miejsce
poważne i zaszczytne.
W roku 1951 powołany
został komitet wydania
dzieł Andrzeja Frycza
Modrzewskiego, w które-
go skład weszli najwybit-
niejsi polscy pracowni-
cy naukowcy. Komitet po-
stanowił, by z uwagi na
różnorodność zadania nau-
kowe i społeczne, jakie
spełnić ma dzieło Fry-
cza — wydać jego pisma
ze szczególną pieczołow-
tością. Osobno ukaże się
oryginalny tekst łaciń-
ski Frycza, osobno zaś
nowe tłumaczenie jego
dzieł na język polski.
Poza tymi dwoma wyda-
niami, przeznaczonymi
dla naukowców polskich
i zagranicznych (badacze
epoki Odrodzenia i Re-
formacji za granicą nie-
cierpliwie czekają na
ukazanie się łacińskiego
tekstu dzieł Frycza) —
ukaze się fotooffsetowe
wydanie dzieł Modrzew-
skiego w szesnastowiecz-
nym, pięknym tłumaczeniu Cypriana Bazylika.
Dla użytku popularnego, dla szkół i szerokich rzesz
czytelniczych, wydany będzie wybór pism Frycza. Prof.
Łukasz Kurdybacha opracował ponadto monografię po-
święconą Fryczowi Modrzewskiemu, z której zaczerp-
nieliśmy tu szereg danych. Wszystkie te książki ukażą
się, lub zostaną zapoczątkowane już w roku bieżącym.

KTÓREGOŚ dnia, w kilka tygodni po tym, gdy z auta
przed drukarnią na ul. Mińskiej w Warszawie wy-
siadło dwu ludzi troskliwie przenoszących stary
druk Modrzewskiego — dzieło to odbyło, w podobnych

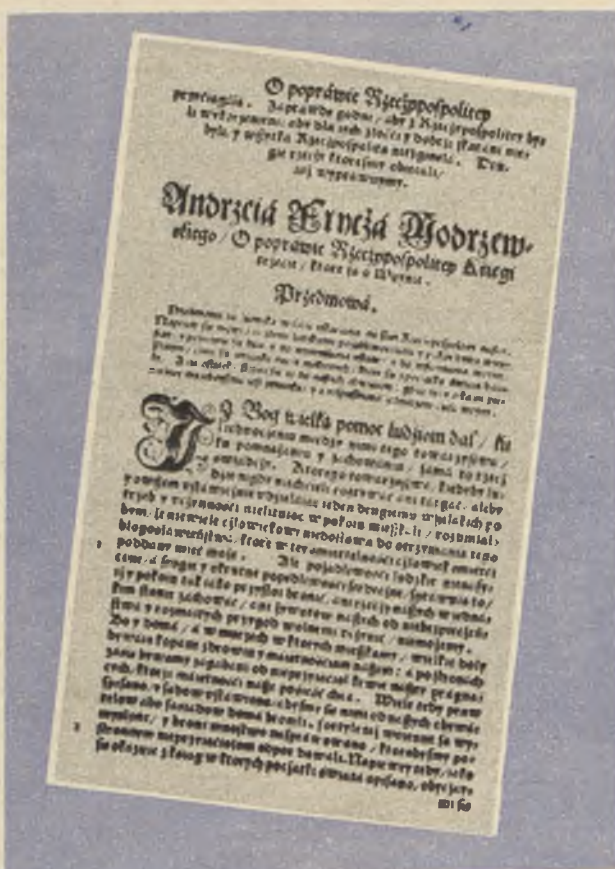
Aby oszczędzić oryginały, z takiego zdjęcia tłumaczono tekst dzieł Andrzeja Frycza
Modrzewskiego z języka łacińskiego na język polski, do nowego pełnego wydania.

skie i stałe się zajadłym wrogiem wszelkich reform
kościelnych. Uważając działalność Frycza za niebez-
pieczną dla papieżstwa, nuncjusz Lippomano organizuje
zamach na życie Modrzewskiego, zamierza go uwięzić
i zgładzić. Oswobodzony przez króla spod sądownictwa
kościelnego, Modrzewski odczuwa jednak mściwą rękę
nuncjusza: traci wójtostwo w Wolborzu. Ostatnie jego
dzieło „Sylwy“, staje się przyczyną sensacyjnej afery:
w trop za wysłanym do Bazylei dziełem, kalwini (bo
i tych z kolei obawą napęłała samodzielność myśli re-
formatorskiej Modrzewskiego) wysyłają swego posła,
który przyczynia się do wykradzenia i ukrycia nowego
dzieła Frycza. Modrzewski, niezrażony, odpowiada zre-
dagowaniem „Sylw“ po raz drugi. Nie doczeka się już
ich druku, umiera bowiem, dotknięty chorobą, w czasie
panującej wówczas epidemii.

Takie były pokrótce losy Andrzeja Frycza Modrzew-
skiego: ciekawe, burzliwe, tragiczne i związane jak
tylko można najściślej ze współczesną mu epoką.
Z pewnością niejednego, kto życie Frycza zna tylko
z lakonicznych wzmianek, ucieszy wiadomość, że Anna
Kowalska przygotowuje powieść biograficzną o Mo-
drzewskim.

Nawet pobieżna znajomość życia Frycza pozwoli nam
ocenić, że portret Modrzewskiego, wyimaginowany
przez Matejkę, portret człowieka o surowych rysach
i skupionym wyrazie twarzy, jest chyba portretem da-
jącym słuszne wyobrażenie o trudnych dziejach tego
pisarza, reformatora i pedagoga, bojownika o równość
stanów wobec prawa, gorącego patrioty, zwolennika no-
wych metod nauczania i wychowania młodzieży.

TEN to matejkowski portret, przeffotografowany
i przeniesiony na transparent, nieśli w tym roku w
pochodzie pierwszomajowym, pośród wielu innych
portretów polskich myślicieli i pisarzy postępowych —
pracownicy Państwowego Instytutu Wydawniczego.
Dzięki wyteżonej pracy licznej grupy ludzi pracu-
jących w najróżniejszych dziedzinach kultury — dzie-
ła Frycza Modrzewskiego ukazywać się będą stopniowo
w tym roku i w roku następnym na półkach księgar-
skich. Jest to jedna z licznych pozycji, jakie ukażą się
wkrótce w związku z podjęciem szczegółowych badań
nad Odrodzeniem w Polsce. W lipcu opuści drukarnię
drugie z kolei w ciągu tego roku, tym razem pełne, wy-
danie pism Jana Kochanowskiego w trzech tomach.
W przygotowaniu znajduje się również zbiór pieśni łaciń-



Zdjęcie stronicy z dzieła Andrzeja Frycza Modrzew-
skiego w przekładzie Cypriana Bazylika z XVI wieku.



Janusz Dybysławski fotografuje, strona po stronie, sta-
ry egzemplarz dzieł Frycza w tłumaczeniu Bazylika.

okolicznościach, powrotną drogę. Znaczyło to, że prace
wstępne do fotooffsetowego wydania dzieł Frycza, w
tłumaczeniu Bazylika, zostały rozpoczęte.

Równocześnie niemal w krakowskiej Drukarni Wy-
dawniczej (dawna: Anczyca) przygotowywano się do
składania pełnego tekstu łacińskiego. Kilku drukarzy
zajmujących dziś stanowiska w dyrekcji tak zapaliło
się do zadania, że zgłosiło swój ochotniczy udział w pra-
cach nad składem. Przy linotypach stanęli: Jan Wer-
mak, Zofia Krzysztofek, Marian Pierzynka i J. Skratek.

Na wiele miesięcy przedtem, bo już w roku 1951 przy-
stąpiono do nowego tłumaczenia dzieł Frycza. Niewielu
jest w Polsce tłumaczy, którzy prowadzili już kiedyś
pracę nad tekstem... fotografowanym. Tym razem tak się
stało. Ostatnie wydanie bazylijskie dzieł Frycza z ro-
ku 1559 zostało sfotografowane, stronica po stronicy,
i rozdane tłumaczom, dla oszczędzenia cennych egzem-
plarzy oryginału, których mamy w Polsce zaledwie trzy
czy cztery. Jak ciężka była sama praca tłumaczeniowa,
o tym może powiedzieć najdokładniej młody zespół na-
ukowy, zatrudniony na stałe przy pracach komitetu wy-
dania dzieł Frycza Modrzewskiego.

Trzeba było ustalać terminologię szesnastowieczną
z różnych dziedzin. Z tak różnych, że zwracano się nie
tylko do filologów klasycznych i historyków, ale i do
teologów kalwińskich i katolickich; nawet do turko-
logów. Trzeba było sprawdzać, na jakich autorów i jakie
dzieła powoływał się pisarz, który często nie dawał w
takich wypadkach żadnych dodatkowych wyjaśnień.
Pisze na przykład Frycz w księdze „O wojnie“: Praw-
dziwie bowiem powiedział ów komediopisarz: „wszyst-
kiego pierwiej niż broni próbować mądremu się godzi“. Ile
trzeba było trudu, by dojść wreszcie, że jest to cytat
z Terencjusza, ile trzeba było przerzucić książek! Albo:
„Jak powiedział Platon, Arystoteles...“ lub: „Jak po-
wiedział Cicero...“ — Wszystkie te miejsca należało przy
dziełach wzmiankowanych pisarzy odszukać, zestawieć
ponownie z tekstem, zreagować przypisy.

Przygotowanie do druku „De republica emendanda“
trwało półtora roku, a prowadził je przecież zespół zło-
żony z wielu ludzi.

Ciężkie zadanie mieli również pracownicy przygoto-
walni fotooffsetowej z Marianem Kwintkiewiczem na
czele. Otrzymali oni do reprodukcji fotograficznej
egzemplarz tłumaczenia Bazylika — szacowny, z piękną,
ręcznie odbijaną czcionką — ale nielaty do pracy.
Trzeba było retuszem ręcznym i sposobami chemicz-
nymi usuwać na negatywie i diapozytywie plamy wi-
doczne na poślódkach ze starości kartach; trzeba było
wzmocniać głoski niedociśnięte przez kolegę po fachu
przed 400 laty, trzeba było każdą stroniczkę poddać
starannym oględzinom i pielęgnacji.

Dziś wszystkie trudności są już przezwyciężone. Za
kilka czy kilkanaście tygodni książki, nad którymi tylu
ludzi pracowało poświęcając im swój trud i wiedzę —
dostaną się w ręce czytelników. Przymierzcie między
wielkim pisarzem epoki Odrodzenia i czytelnikiem
współczesnym zostanie zawarte na nowo. W ten sposób
pracują pokolenia nad pięknym wspólnym dziełem, któ-
re nazywamy tradycją narodu.



„Tym razem już nas nie narzną te demochrysty” — mówi Domenico Esposito.

W CZTERECH MIASTACH

Korespondencja własna „Świata” z Włoch

7 czerwca naród włoski przystąpi do wyborów — i to od razu do obydwu izb — do Izby Posłów i do Senatu. Wprawdzie kadencja Senatu miała wygasnąć dopiero w przyszłym roku, ale de Gasperi wolał rozwiązać od razu i wyższą izbę, aby uniknąć kontroli wyborów ze strony parlamentu.

5 lat rządów chadecji we Włoszech to okres nieustannych oszustw i łamania własnych obietnic przez koalicję rządzącą.

Jawna zdrada de Gasperiego i faszystowska polityka jego rządu spotkały się z potężniejącym oporem mas ludowych, czego dowodem było olbrzymie zwycięstwo klasy robotniczej w wyborach samorządowych. Chadecja, przerażona sukcesami lewicy, ogłosiła nową, oszukańczą ordynację wyborczą, pragnąc w ten sposób zapewnić sobie zwycięstwo.

Wymownym przykładem faszystowskiej polityki De Gasperiego jest fakt, że w Terni np. kandydatem chrześcijańskiej demokracji

jest niejaki Elia Rossi-Passavanti, b. deputowany faszystowski, który w 1924 r. w czasie posiedzenia parlamentu, na znak hołdu wobec Mussoliniego, padł przed nim (dosłownie) na kolana...

Przeciwko reakcji włoskiej występuje nie tylko klasa robotnicza i masy chłopskie, ale wielu czołowych polityków i działaczy mieszczańskich. Partię republikańską opuścił jeden z jej przywódców, były premier Włoch — Ferruccio Parri. Z szeregu partii liberalnej ustąpił deputowany Corbino; z partii socjaldemokratycznej — deputowany Calamandrei. Wszyscy oni zgrupowali wokół siebie i swoich partii (Parri — „Unione Popolare” — Związek Ludowy, Corbino — „Alleanza Democratica” — Sojusz Demokratyczny, Calamandrei — „Autonomia Socialista”) poważne grupy zwolenników, których głosy staną się niewątpliwie do datkową przeszkodą na drodze do zdobycia większości parlamentarnej przez chadecję De Gasperiego i jej sojuszników.

Rzym, w maju

NASZA maszyna pędzi po Via Appia, tej samej, którą Rzymianie połączyli port w Brindisi ze stolicą nadtybrzańską. Ostrą serpentyną przejeżdżamy przez pasmo gór. Małe miasteczko Itri, prawie doszczętnie zniszczone w czasie działań wojennych. Odbudowany jest kościół, częściowo stacja kolejowa i dom burmistrza, ale zabudowania mieszkalne w większości leżą jeszcze w gruzach. Zatrzymujemy się na rynku. Pełno tu wielkich plakatów wyborczych: tarcze z krzyżem — symbol chadecji — mają w sobie coś ponurego. Grupki mieszkańców, robotników rolnych i biedoty wiejskiej dyskutują na temat nadchodzących wyborów. Zbliżamy się do jednej z grup: „No i cóż, kto wygra tym razem w Itri, znowu chadecja?” Ogólne milczenie. Stary pasterz zbliża się do mnie naciągawszy kapelusz głęboko na oczy i mówi ze złością: „Non ci fregeranno piu questi democristi” — tym razem już nas nie narzną te demochrysty. „Ca nissuno e fesso” — nie ma głupich — dodaje w dyalekcie miejscowym. Udaję zaskoczonego.

Miasteczko zostało doszczętnie zniszczone w czasie bitwy o Montecassino. W roku 1948 wygrała tu wybory chadecja. Mieszkańcy otumanieni zostali obietnicami Watykanu i De Gasperiego, cudami i świętymi, którzy poruszali okiem, obłudną propagandą Akcji Katolickiej. Chadecja przyrzekła natychmiastową odbudowę miasteczka. Oszustwo wyborcze jest tak wyraźne, że nawet tu, na tym odludziu, przy olbrzymim pro-

Rowery FIAT-a i bezrobotni, którzy kiedyś pracowali w zakładach FIAT-a.



Na plac weszła właśnie z transparentami wielotysięczna kolumna robotników hut neapolitańskich. Szli w zupełnym milczeniu. Ani jednego okrzyku. Milcząca siła.

cencie analfabetów, opinia ludności gwałtownie odwraca się od partii klerikalnej.

Domenico Esposito odsuwa teraz kapelusz z czoła i wskazując nam mały potrzaskany domek, mówi: „Tam mieszkam”. „Obiecali nam pomoc przy odbudowie, to i głosowaliśmy na nich — dodaje. — A co mamy? Kościół, stację benzynową ESSO i elegancką szosę dla amerykańskich turystów. Jak przejeżdżają, to rzucą czasem naszym dzieciom kawałek czekolady — ot, plan Marshalla! A u mnie w pokoju pada deszcz. Mamy dość demochrystów”. Kapelusz zjechał mu na oczy. „Będziemy głosowali na tych, którzy mają takie ręce jak my” — i pokazuje swoje spracowane dłonie.

LAURO WRÓCIŁ Z MADRYTU

Jesteśmy w Neapolu. Wokół portu patrole. Włoskie? Nie! „US Navy” i „Military Police”. W porcie i na redzie kilkanaście jednostek amerykańskiej floty śródziennomorskiej. Włóczymy się po mieście. Jesteśmy wśród „bassi” — nor, w których gnieźdzą się neapolitańczycy. Uliczki tu tak wąskie, że z okna do okna można rękę podać, a dwa osiołki — najpopularniejszy środek komunikacji — nie miną się. Bieda straszliwa. Od czasu zjednoczenia Włoch wszystkie rządy przyrzekały rozwiązać problem Południa i wszystkie pozostawiały tę samą nędzę. To samo zrobił rząd signora De Gasperi. Dzieci włóczą się brudne, wygłodzone, kobiety blade i wynędzniałe. Pełno lokali z czerwonym światłem; obok nich grupki marynarzy amerykańskich: twarze nalane, zadowolone, ręce w kieszeniach, pistolety u boku. Jakież kontrast z otaczającą nędzą!

Towarzyszy nam Pasquale di Giacomo, neapolitańczyk z dziada pradziada. Razem z nim idziemy na wiec przedwyborczy. Przemawia burmistrz miasta,

Lauro, potentat przemysłowy Południa, główny armator portu neapolitańskiego. Parę godzin temu — jak sam oświadcza — wrócił z Madrytu, gdzie odwiedził „Jego Królewską Mość” Umberto II. Uśmiecham się, mój towarzysz też się śmieje. Ale Pasquale di Giacomo patrzy na nas poważnie. „Pomyślcie, że ta kanalia ma milion lirów dochodu dziennie — dziennie — i ma chęć jeszcze przemawiać do ludu. A cóż on ma wspólnego z ludźmi, którzy nie mają na talerz spaghetti. Tacy jak on — mówi Pasquale — finansowali Mussoliniego, bratani się z hitlerowcami, dziś mają chadecję — ale nie uda im się. Południe już się obudziło. Neapol też ma dość...”

Nie skończył, bo na plac weszła właśnie wielotysięczna kolumna robotników hut neapolitańskich. Nieśli czerwone sztandary i transparenty: „Front ludu wokół sił lewicy”, „Precz ze wskrzesicielami faszyzmu!”, „Lauro, pamiętaj, jak skończył twój przyjaciel, Il Duce!”. Wszystko w zupełnym milczeniu. Ani jednego okrzyku.

Byliśmy zafascynowani tą milczącą siłą. Kiedy ostatni robotnicy minęli plac, odwróciliśmy się w stronę trybuny; stał tam już tylko mikrofon. Laura nie było. Pasquale di Giacomo uśmiechał się teraz.

MY Z TURYNU

Samolot ląduje na lotnisku w Superga pod Turynem. Autobus towarzystwa lotniczego LAI (65% kapitału amerykańskiego) przenosi nas szybko do centrum miasta. Kilkunastu dziennikarzy przyjechało do Turynu, by wysłuchać przemówienia premiera De Gasperi. Z olbrzymim uśmiechem mówił wódz chadecji, że „dziś rano, kiedy przyglądał się ulicy turyńskiej, widział setki robotników na rowerach i na motocyklach i pomyślał sobie, że w gruncie rzeczy nie jest

im tak źle, tym wciąż sarkającym robotnikom turyńskim”. Te słowa premiera powitano przenikliwym gwizdem z grupy niedawno zredukowanych robotników FIAT-a. Długo premier nie mógł podjąć swojej cynicznej mowy.

Podchodzimy do grupy bezrobotnych i razem z nimi idziemy na prawdziwy wiec robotniczego Turynu. Jakaż różnica. Kilkaśet tysięcy ludzi słucha Fernando Santi, sekretarza Generalnej Konfederacji Pracy. „Nasze żądania nie są przesadzone — mówi Santi — chcemy pokoju, chcemy szerokiej wymiany handlowej ze wszystkimi krajami, ze Związkiem Radzieckim, Chinami Ludowymi i krajami demokracji ludowej. Normalne stosunki handlowe wzmogą zamówienia dla naszego przemysłu i uratują dziesiątki tysięcy robotników od głodu”. Długo mówił Santi. Szczegółowo przedstawiał plan Generalnej Konfederacji Pracy, dążący do usunięcia wyzysku ze strony obcego kapitału i do szerokiego wykorzystania możliwości i sił produkcyjnych kraju. Przedstawiciele bohaterskiej klasy robotniczej Turynu słuchali w skupieniu. W pierwszych szeregach zwarta, potężna grupa „fiatowców”. W marcu 1943 roku rozpoczęli słynny strajk 300.000. W 1944 i 1945 roku przepędzili hitlerowców i uratowali swoje zakłady. To starzy, doświadczeni, świadomi proletariusze. Kochają swoją partię: Komunistyczną Partię Włoch. „Noi de Turin” — zaczyna dyalektem piemonckim majster z FIAT-MIRAFIORI, Alberto Rizzo — „My z Turynu jesteśmy ludźmi specjalnymi. Profesor Valletta, nasz szef, pojechał do Waszyngtonu, podpisał układ z General Motors, a teraz urządził lokaut. Setki naszych towarzyszy są na bruku po to, żeby kapitał amerykański mógł taniej importować do nas. Nie pierwszy raz mamy do czynienia ze zdrajcami. Sto lat temu król Piemontu zdradził rewolucję w Lombardii, dla interesu. Badooglio zdradził naszych partyzantów. Ale nasz Turyn wydał Gramsciego i Togliattiego. My ich kochamy — capisci — rozumiesz? To nie żarty. Chadecy zmontowali tę złodziejską ordynację wyborczą, bo się nas boją. Ale my poprzemy nasze partie robotnicze, komunistyczną i socjalistyczną. Pomożemy naszym bezrobotnym towarzyszom, pokażemy naszą siłę w tych wyborach, vedrai — zobaczysz”.

OD 40 LAT NIC SIĘ NIE ZMIENIA

Olbrzymi tłum zapelnia plac koło wspaniałego zamku książąt d'Este w Ferrarze. Wokół placu oddziały policji, osławionej „celere”. Na placu setki kobiet, które za miesiąc zaczną zbierać ryż w dolinie Padu. Setki robotnic rolnych. W roku 1948 chadecja „postawiła” na kobiety. Kościół rozpetał średniowieczną kampanię „cudów”. I tym razem Watykan beceremonialnie depcze konstytucję Włoch, wtrącając się do kampanii wyborczej. Na wszystkich kościołach w dolinie padeńskiej rozlepione zostały afisze: „Udział w głosowaniu jest moralnym obowiązkiem chrześcijanina”;

„Głosowanie na partię polityczną przeciwną chadecji — jest grzechem”; „Zwycięstwo komunizmu to koniec świata”. Wszystko jest zmobilizowane: od „celere” — po sąd ostateczny i piekło dla głosujących na partię lewicową.

Lina Visentin jest dziś też na placu. Szła 10 kilometrów do Ferrary, ale zdążyła na wiec. Lina ma 42 lata. W 1943 roku hitlerowcy rozstrzelali jej męża — partyzanta. Przed kilkoma miesiącami zginął w czasie powodzi jej 14-letni syn. Co roku Pad wylewa i zbiera swoje ofiary. Od roku 1913 każdy rząd przyrzeka zbudować wały ochronne. Od 40 lat przyrzekają i od 40 lat nic się nie zmienia. Od 40 lat, co rok, patriarcha wenecki „modli się” za ofiary powodzi, a potem... potem każe głosować za rządem. Tak, jak to czyni teraz monsignor Roncalli, nowy kardynał. Co o tym myślą chłopcy? Posłuchajcie Liny Visentin. „W samej Ferrarze, w miasteczkach i wsiach okolicznych płacimy za wodę do picia kilkaset lirów rocznie. To dla nas dużo — mówi Lina. Płacimy towarzystwu akcyjnemu, którego 46% akcji jest w rękach Watykanu. Uregulowanie biegu Padu dałoby możliwość normalnego zaopatrywania w wodę całej okolicy. Tego oczywiście nie chce monsignor Roncalli. Niechaj wylewa Pad!”.

Kilka dni temu przemawiał w Ferrarze sekretarz chadecji, Gonella. Miał się przeciwko lewicy i prawicy. Rzucił pioruny na monarchistów — a tymczasem jest publiczną tajemnicą, że chadecja liczy właśnie na głosy monarchistów, bez których partię rządową nie będą w stanie osiągnąć niezbędnych 50% + 1 głosów. Ferrara wie, że Gonella liczy na głosy monarchistów i faszystów — Ferrara nie da się już oszukać.

Lina Visentin ma łzy w oczach. Słucha dziś spokojnych, jasnych słów zastępcy sekretarza generalnego Włoskiej Partii Komunistycznej, Pietro Secchia. Lina przypomina sobie męża, pamięta, jak go prowadzili na stracenie, krzyczał jeszcze do niej: „Ufaj partii, to nasi bracia, ufaj im!”.

A dziś na wiecu w Ferrarze jest wielki transparent. Rozciągnęli go przez cały plac robotnicy rolni, komuniści i socjaliści, pomagali ci wszyscy, którzy mają dość rządów kłamstwa, którzy mają dość „demochrystów”. Na tym transparentie widnieją słowa: „La Valle Padana dice no a De Gasperi e al Cardinale Roncalli” — dolina padeńska mówi nie De Gasperiemu i kardynałowi Roncalli.

Pięć lat trwają rządy chadecji. Pięć lat trwają chadecckie oszustwa. Naród włoski ma już dość ludzi, którzy zaprzęgli kraj w jarzmo Stanów Zjednoczonych, którzy paktują z monarchistami i faszystami, którzy niszczą przemysł narodowy i powodują nędzę kraju, którzy pozwalają na bezkarne panoszenie się watykańskiej reakcji.

Naród włoski mówi: NIE.

RINO DAL SASSO

Chadecja liczy na głosy monarchistów i faszystów, ale lud nie da się oszukać.



UCZY NAS STALIN

DROGA

WYZWOLENIA KOBIETY

ZOFIA WASILKOWSKA

Sędzia Sądu Najwyższego, wiceprzewodnicząca Zarządu Głównego Ligi Kobiet, członek Światowej Rady Pokoju

OZGONIE Towarzysza Stalina dowiedziałam się nie w kraju, nie wśród swoich i bliskich. Obca gazeta, w obcym języku przyniosła mi tę bolesną wiadomość.

Znajdowałam się wówczas w podróży do Nowego Jorku, gdzie jako delegat Polski miałam wziąć udział w obradach Komisji Praw Kobiet przy Organizacji Narodów Zjednoczonych.

Niewymownie ciężkie były owe pięć dni i nocy spędzonych na statku. Byłam sama, bez możliwości podzielenia się z kimkolwiek wrażeniami i uczuciami targającymi sercem. Lecz myślą łączyłam się z milionami tych, dla których Stalin był Wielkim Nauczycielem. Byłam razem z kobietami polskimi, które tak często nazywały Stalina wzruszającym mianem Ojczyzny i dzieci. Przebiegałam myślą te tysiące zebrań kobiecych w Polsce, w fabrykach i szkołach, w miastach i wsiach, w których wielu sama brałam udział, a na których tak często powtarzało się imię Stalina, gdy mówiono o walce o pokój i sprawiedliwość społeczną, gdy mówiono o radości budowy nowego życia, o perspektywach, jakie stawia ono przed kobietami.

Przypominałam sobie, ileż to razy każda z nas, aktywistek, przygotowując się do zebrania, referatu, dyskusji, sięgała przede wszystkim do dzieł Stalina, aby znaleźć w nich żywe i celne słowa, pobudzające do walki i czynu, uczące miłości człowieka, czujności wobec wrogów, umiejętności przewidywania trudności.

Myślałam o tym, ile serdecznych uczuć wkładały kobiety polskie w listy i podarki składane w dniu 70 rocznicy urodzin Stalina. Do siedziby Ligi Kobiet napływały w owych dniach stopy listów, setki, tysiące, zdawało się, bez końca. Ze wzruszeniem oglądałam je później na Wystawie w Moskwie, gdzie obok darów kobiet całego świata składały się na jeden wspaniały bukiet miłości i podziwu dla Tego, który wskazał drogę wyzwolenia i poprowadził po niej miliony kobiet.

Tak, mocne uczucia zespoliły miliony kobiet polskich, niezależnie od ich przekonań, z nauką, życiem i walką Józefa Stalina.

Dlatego też, choć tysiące kilometrów dzieliły mnie od kraju, wiedziałam, że jestem razem z milionami kobiet polskich zarówno w ich niezmiernym bólu, jak i zdecydowanej woli jeszcze większego zjednoczenia szeregów dla walki o pokój i szczęście Ojczyzny.

Nieśmiertelne nauki Stalina o roli kobiety w walce o budownictwo socjalizmu stały się drogowskazem dla polskich robotnic, kobiet wiejskich, pracujących inteligentek.

Gdy uczestniczyłam w obradach Komisji Praw Kobiet ONZ, gdy słuchałam słów o ciężkiej doli kobiet w różnych krajach kapitalistycznego świata, o ich poniżającym położeniu i nierówności praw, z tym większą jasnością oceniałam, jak olbrzymie są osiągnięcia kobiet w Polsce Ludowej.

Prawo do pracy i równego wynagrodzenia za pracę, prawo do nauki, do godności i stanowisk, opieka nad matką i dzieckiem, dostęp do wszelkich dziedzin życia politycznego, społecznego,

gospodarczego i kulturalnego — wszystko to jest niezaprzeczalnym faktem i realizowane jest coraz szerzej przez miliony kobiet. Z dumą mówią kobiety o Konstytucji Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej, a zwłaszcza o jej art. 66, nazywając go Wielką Kartą Praw Kobiet.

Kobiety polskie przekonały się na własnym doświadczeniu o prawdzie nauki Lenina i Stalina, że tylko socjalizm, niosąc wyzwolenie masom pracującym, zapewnia kobietom równość praw i możliwości rozwoju ich twórczych sił, gwarantuje szczęśliwą przyszłość nowym pokoleniom.

Lecz najpiękniejsze zjawisko, uderzające każdego, kto zetknął się z ruchem kobiecym w Polsce Ludowej, to wzrost świadomości i aktywności społecznej kobiet, to wspaniały proces ich przeobrażenia się w rzeczywistych współgospodarzy ludowego państwa.

Stalin wskazywał, że dwa są wielkie zadania klasy robotniczej wobec kobiet.

Pierwsze zadanie — to polityczne uświadomienie kobiet.

Drugie i decydujące zadanie — to „wykuć z rezerwy kobiet pracujących armię robotnic i chłopek, działającą ramię przy ramieniu z wielką armią proletariatu”.

Te zadania stanęły również przed kobietami w Polsce Ludowej.

Cóż może być bardziej porywającego, jak kształtowanie się nowego typu kobiety, która zrzuca pęta poniżenia i zafobania, prostuje grzbiet, coraz śmielej spogląda na świat, znajduje nowy sens życia, nowe zainteresowania i nową świadomość wolnego człowieka.

Przełamanie wielu starych nawyków i przesądów, pobudzenie drzemających talentów i energii kobiet, włączenie ich w bujny nurt budownictwa socjalistycznego — oto wielkie dzieło, które w znacznym stopniu już się dokonało w Polsce Ludowej i dokonuje się z roku na rok, z miesiąca na miesiąc.

Te rewolucyjne przeobrażenia dokonują się przede wszystkim w procesie pracy i poprzez nowy stosunek do pracy.

Pamiętam, jak kilka lat temu, gdy zaczął rozwijać się w Polsce potężny ruch współzawodnictwa pracy, pewna robotnica-tkaczka mówiła:

„Z tym współzawodnictwem to jak z matką i dzieckiem. Gdy matka kocha dziecko, to stara się, aby dziecko było czyste, zdrowe, ładne, ubrane... Cieszy się, kiedy inne matki dziwią się i zazdroszczą jej. Tak samo jest i z robotą: jak tkaczka ma do niej serce, jak ją kocha, to dba o nią, jak o własne dziecko. Bo kocha. A jak nie kocha, to sztuki od niej wychodzą jak to dziecko od macochy — i brudne, i nie umyte, i głodne, i obszarpane... Kocham moją robotę jak własne dziecko”.

Tak jak ta tkaczka, wiele kobiet uczyło się pojmować piękno pracy w nowych warunkach ustrojowych jako szlachetne, twórcze działanie dla dobra narodu i jednostki. Dziś dziesiątki tysięcy przodownic pracy swymi czynami produkcyjnymi dowodzą, że praca jest ich honorem i umiłowaniem. Tak jak radzieckie robotnice, które wychował Stalin, uczą się polskie kobiety widzieć cel swego życia, swoją promienną drogę w pracy dla Ojczyzny, dla pokoju, dla szczęścia dzieci.

A jak zmieniły się, przeobraziły głęboko kobiety wiejskie! Gdy dwa lata temu odbywał się w Warszawie Kongres Ligi Kobiet, nieleżące jeszcze wówczas inicjatorce spółdzielni produkcyjnych mówiły z żarem o pięknej idei socjalistycznej przebudowy wsi.



Fot. P. Kornecka

Przypominały słowa Stalina, że tylko w kolchozach kobiety mają możliwość stanąć na równej stopie z mężczyzną.

Dziś takich działaczek jest tysiące.

Bolesław Bierut mówił na I Kongresie Spółdzielczości Produkcyjnej w lutym br.:

„Wiemy dobrze, jakie nieprzebrane skarby uczucia i szlachetnych porywów, ofiarności społecznej i patriotyzmu tkwią w duszy naszych pracujących kobiet wiejskich. Toteż kiedy im duska spada z oczu, kiedy dociera do ich serca i rozumu wielka prawda o naszym życiu w spółdzielni produkcyjnej, stają się one najbardziej płomiennymi bojowniczkami tego ruchu, wkładają w swą pracę zawodową i społeczną cały żar swego serca.

Dlatego dumni jesteśmy z naszych kobiet — działaczek ruchu spółdzielczego”.

Józef Stalin niejednokrotnie z naciskiem podkreślał wielką wagę wysuwania przodujących kobiet na odpowiedzialne stanowiska w życiu gospodarczym i politycznym. „Winniśmy — mówił Stalin — z radością powitać wrażliwą aktywność społeczną pracujących kobiet i wysuwanie ich na stanowiska kierownicze jako niewątpliwą oznakę wzrostu naszej kultury...”

Te wskazania Stalina były i są potężnym bodźcem dla sprawy wzrostu aktywności kobiet w Polsce Ludowej, pomogły przezwyciężyć wiele oporów i przesądów tkwiących w różnych środowiskach i tamujących proces wysuwania i awansowania kobiet. Owoc tych wskazań to 15 tysięcy kobiet członkin rad narodowych, to 20 tysięcy kobiet awansowanych na odpowiedzialne stanowiska w przemyśle, to wzrastająca liczba kobiet nabywających wysokie kwalifikacje, kobiet inżynierów, lekarzy, agronomów, działaczek oświatowych i kulturalnych, to opanowywanie przez kobiety nowych zawodów w budownictwie i hutnictwie, przemyśle chemicznym i maszynowym.

Dla kobiety w Polsce Ludowej do niepowrotnej przeszłości należą czasy bezrobocia, ciemnoty, analfabetyzmu. Przed kobietami otworzyła się droga do oświaty i kultury. W ciągu niespełna trzech lat nauczono czytać i pisać milion dorosłych mężczyzn i kobiet, stwarzając im możliwości awansu i kulturalnego wzrostu.

Robotnica z fabryki obuwia w Oleśnicy, dawniej analfabетка, pisała w 1951 roku w swym pamiętniku: „Teraz razem z moją córką siadamy przy stole i czytamy. Dopiero teraz wiem, że żyję... Dziękuję bardzo Polsce Ludowej, że przejrzałam na oczy”.

Właśnie ten moment radości z „przejrzenia na oczy” jest nicią przewodnią

Dokończenie na str. 17

TU ŻYŁ I TWORZYŁ MIKOŁAJ KOPERNIK

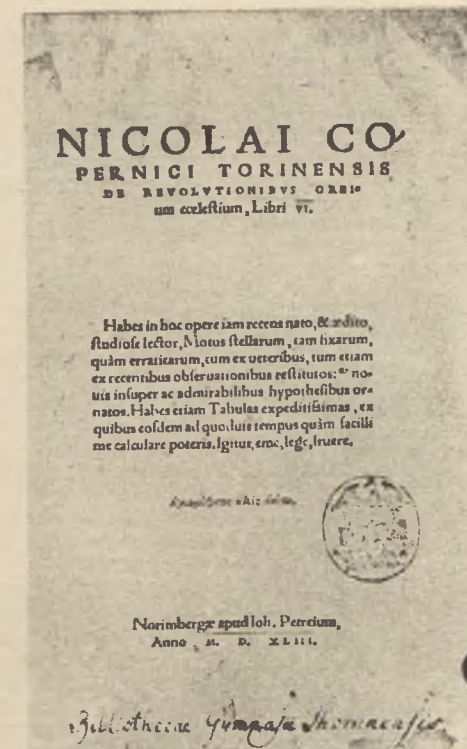


1 Kiedy grasująca w Europie zaraza, zwana „czarną śmiercią”, zabrała w 1482 r. ojca młodemu Mikołajowi, wuj jego, Łukasz Waczenrode, późniejszy biskup warmiński, sprowadził całą rodzinę Koperników do Włocławka. Tam Mikołaj zetknął się po raz pierwszy z astronomią, budując wraz ze swym nauczycielem, doktorem Wodką, zegar słoneczny, znajdujący się po dziś dzień na południowej ścianie katedry.

Jako osiemnastoletni młodzieniec Kopernik wstąpił w 1491 roku na Akademię Krakowską. Wykłady słynnego astronoma Wojciecha z Brudzewa, ściągający do niej cudzoziemców ze wszystkich stron świata. Po czterech latach studiów Kopernik zamienił szaty krakowskiego scholara na ubiór elewa uniwersytetu w Bolonii, ażeby uzupełnić zdobyte wiadomości. Przeprowadzone w Bolonii obserwacje astronomiczne utwierdziły

Kopernika w przeświadczeniu o błędności teorii Ptolemeusza, powszechnie obowiązującej i popieranej przez kościół. Teoria ta bowiem zakładając, że Ziemia jest środkiem wszechświata, umacniała istniejący porządek feudalny, według którego uprzywilejowanym przez naturę globem ziemskim rządził pan wszelkiego stworzenia — człowiek, a poszczególne stopnie ziemskiej drabiny hierarchicznej zajmują rycerstwo, książęta, królowie oraz cesarz i papież, stojący na samym jej szczycie.

Po odbyciu dalszych studiów w Rzymie, Ferrarze i Padwie Kopernik powrócił do kraju jako trzydziestoletni mężczyzna, przywożąc ze sobą dyplom doktora praw i medycyny, znajomość fizyki, matematyki i języka greckiego, głębokie wykształcenie humanistyczne, a przede wszystkim ideę nowego układu świata, rewolucjonizującą całą ówczesną wiedzę.



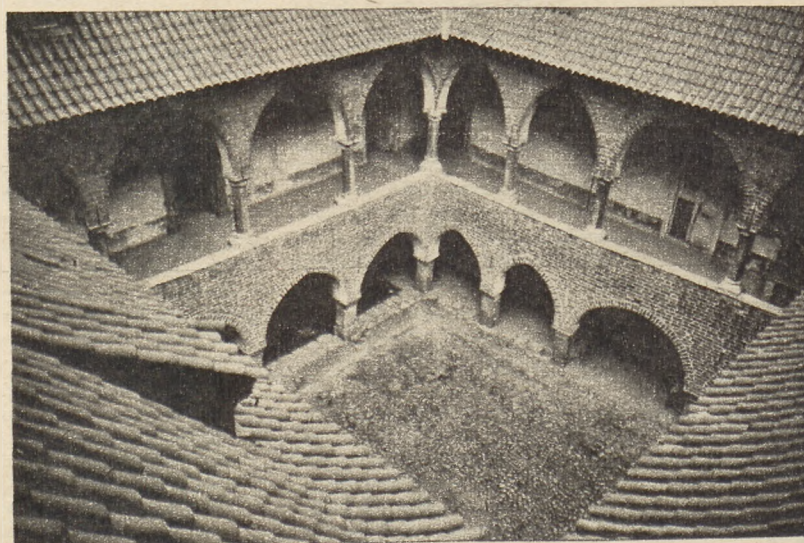
2 Wśród grona najbliższych przyjaciół młodemu astronomowi przetrwał laciński rękopis „Mikołaja Kopernika Komentarzyk o podstawach przez niego hipotez ruchów ciał niebieskich”, udowadniający, że pozorny ruch Słońca jest złudzeniem powstałym wskutek ruchu Ziemi, obracającej się wokół swej osi i okrążającej Słońce. Komentarzyk ten zawierał podstawowe idee, zawarte później w wielkopomnym dziele „De revolutionibus orbium coelestium”.



7 Wielkopomne dzieło Kopernika stało się przedmiotem zacieklých ataków kościoła. Giordano Bruno, który wyciągnął filozoficzne wnioski z teorii Kopernika, został spalony na stosie, a Galileusz wtrącony do lochów watykańskich. Genialne odkrycie naszego astronoma, rozwinięte twórczo przez Keplera, Newtona i innych postępowych naukowców, pomimo wszystkich groźb mu burz odniosło całkowite zwycięstwo, stając się trwałym, niezniszczalnym fundamentem nowoczesnej nauki przyrodniczej.

W DOMU poważnego kupca i obywatela toruńskiego, Kopernika, zapanaowała wielka radość, kiedy w dniu 19 lutego 1473 r. rozległ się zdrowy krzyk niemowlęcia, zwiastujący przyjście na świat jeszcze jednego potomka. Na imię dano mu Mikołaj.

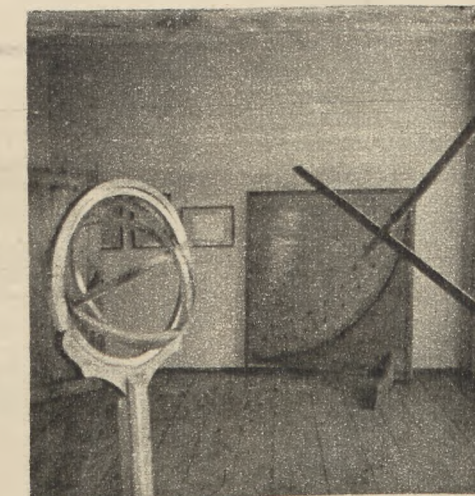
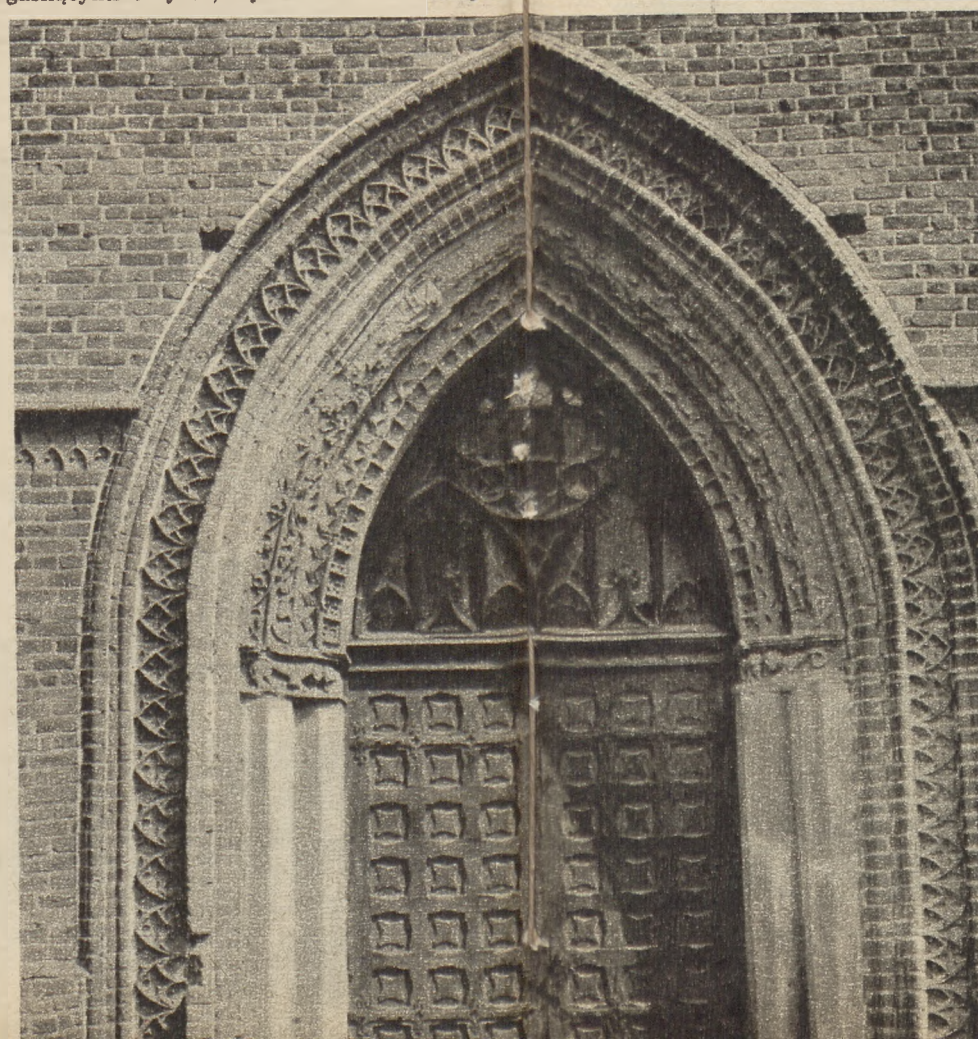
W kilkadziesiąt lat później imię Mikołaja Kopernika z Torunia zaczęło być znane na całym świecie, a nauka jego rozwarła przed ludźmi zamknięte wówczas wrota wszechświata. Genialnemu astronomowi, który odkryciem swoim „wstrzymał słońce, ruszył ziemię”, rodacy wystawili pomnik. Polska Ludowa powołała do życia Uniwersytet imienia Mikołaja Kopernika. Uczelnia ta stała się szeroko otworem dla młodzieży robotniczej i chłopskiej. W domu, w którym niegdyś urodził się Kopernik, mieści się dziś muzeum jego imienia.



3 Przebywając w Lidzbarku, jako sekretarz biskupa warmińskiego, obdarzony przez naturę wszechstronnymi zdolnościami Kopernik zajmuje się praktyką lekarską, bierze udział w rozstrzyganiu sporów polsko-krzyżackich i pisze traktat „O sposobach poprawy monety”.

4 Podczas napadu krzyżackiego na Warmię i Mazury w 1520 r. Kopernik, pełniący w tym czasie obowiązki administratora dóbr kapitulnych, organizuje obronę kraju opuszczonego przez szlachtę i wyższe duchowieństwo. Zaużywając swoje wiadomości matematyczne i inżynierskie, fortyfikuje Kopernik zamek olsztyński i osobiście kieruje jego obroną. Krzyżacy odstępują od oblężenia, a Wielki Mistrz Zakonu, Albrecht w kilka lat później składa uroczysty hołd królowi Zygmuntowi Staremu na rynku krakowskim.

5 Ostatnie lata życia spędza Kopernik w kapitułce fromborskiej. Odnawia na własny koszt starą obronną wieżę i urządza na niej obserwatorium astronomiczne, tzw. „dostrzegalnie”. Szalejąca inkwizycja kościelna długo wstrzymuje Kopernika od ogłoszenia odkrycia, obalającego ówczesną naukę. Dopiero w 1543 r. ogłada na łóżu śmierci, już gasnącymi oczyma, wydrukowane w Norymberdze wielkie dzieło całego swego życia.



6 Za czasów Kopernika nie znano jeszcze lunety. Jedynymi przyrządami, jakimi posługiwano się, był quadrant, triquetrum i astrolabium z lipowego drzewa. Kopernik własnoręcznie sporządził te potrzebne mu do badań narzędzia astronomiczne.

8 Uroczysta inauguracja obchodów Roku Kopernikowskiego odbyła się we Fromborku, gdzie Prezes Rady Ministrów, Bolesław Bierut, dokonał otwarcia zreorganizowanego muzeum im. Kopernika. W Toruniu odbędzie się sesja naukowa PAN poświęcona Kopernikowi, a w Krakowie zostanie otwarta wystawa, obrazująca życie i dzieło wielkiego astronoma. Bogaty plon Roku Kopernikowskiego uzupełnią liczne wydawnictwa oraz dwa planetaria i obserwatoria ludowe, wybudowane w Warszawie i w Stalinogrodzie.



ZDOBYWCY I ZDOBYWANI

LISTY Z TRZECIEJ
PŁASZCZYZNY

BRONISŁAW WIERNIK

NA kolanach i łokciach, czołgając się, zdobywał właśnie ją — „Trzecią Płaszczynę”.

Franciszek Kowalski dobrze pamięta te czasy. Co prawda, wtedy — wtedy? przed trzydziestym dwiema — nasza dzisiejsza „Trzecia Płaszczyna” stanowiła po prostu piaski — powyżej kostek, lotne, jałowe piachy tej podczęstochowskiej „Sahary” (bo i tak ją nazywano), na której prócz kilku kępek jałowca nic rosnąć nie chciało. Tu, pod osłoną nocy, ludzie bezdomni stawiali naprędce swoje rudery — prefabrykaty nędzy. Tu, przede wszystkim, była ostra strzelnica, poligon, teren luźnej musztry, karnych ćwiczeń. Tu właśnie, na piaskach powyżej kostek, najłatwiej było żołnierzemu umęczyć. Kto służył w wojsku za czasów sanacji, ten wie, co to znaczy.

Franciszek Kowalski dobrze pamięta te czasy. W roku 1938 na 1939 zdobywał te piaski w dwudziestym siódmym pułku piechoty.

Podaję za jego wzrokiem. Przez okno baraku Rady Zakładowej widać ją, tę naszą „Trzecią Płaszczynę”, to wszystko, co na jałowych piaskach wyrosło z betonu i stali. Ile trzeba było dotąd zasiać żwiru? Ze dwadzieścia cztery tysiące wagonów. I dziesiątki tysięcy ton cementu i stali. Samych cegieł — dwadzieścia dziewięć milionów — tyle co jednocześnie z budową huty zużyło się na budowę domów mieszkalnych, osiedli, na Rakowie i w samej Częstochowie, dla tych, co hutę budują i w przyszłej hucie będą pracować. A drzewa zasianego dotąd na piaskach jest już z dwieście pięćdziesiąt hektarów lasu (prostokąt: pięćset metrów na pięć tysięcy). Sam Dauksza z białostockiego w swoim tylko rejonie wielkich pieców zużył więcej betonu, niż w ciągu całego roku zużywano w całej Polsce przed trzydziestym dwiema.

— Tak — mówi Franciszek Kowalski — myśmy ją zdobyli.

Do pokoju wchodzi Włodarska, Kazimiera Włodarska, stara znajoma z robót ziemno-betonowych, przodownica pracy, a od kilku dni — radczyni oddziałowa.

— No! jak?

— No i dobrze. Może i dam radę.

Na pewno da radę. Miesiącami zdobywała tę „Trzecią Płaszczynę” w wodzie i kamieniu.

I — jak to często bywa — wszystko tego dnia zaczyna się układać pod to, co myślisz. Wychodząc z Rady Zakładowej spotykamy Janinę Kazimierzczak, pamiętacie ją? Osiemnastoletnią dziewczynę ze wsi Lgota Górna, powiat Zawiercie, poczta Kozie Głowy, która ze swoją brygadą dziewczyn, jak ona ze wsi, skoro świt zrywając się ze snu, w deszcz i śnieg, ani dnia nie opuszczając, jechała do roboty na „Trzecią Płaszczynę” przy wykopach, przerzutach, odpajaniu ziemi. Janina, jak wiecie, poszła na kurs techników zleceń.

— No i jak, Janina?

— No i dobrze. A kobiety mówią: „Aby jedną z naszej wsi umysłową mamy”.

Jeszcze jedna stara znajoma:

— Dzień dobry, Danuta.

Planista Danuta Siemińska ma lat dziewiętnaście, Państwowe Technikum Budownictwa Przemysłowego w Warszawie ukończyła w czerwcu 1952, na „Trzecią Płaszczynę” z nakazem pracy przyjechała 27 lipca. Widać było tylko pierwsze konstrukcje, szkielety, a poza tym same pustki, puste drogi, zupełna pustynia. Z Warszawy — tu?... Ciężko, smutno, samotnie. Bardzo się

wtedy zaczytywała w „Poemacie pedagogicznym” Makarenki. Trzeba było „pedagogicznie” — z ludźmi dookoła i z sobą samym. Rok jeden nie minął, a wszystko już przeszłość. I do partii została przyjęta. A do „Trzeciej Płaszczyny” przywiązała się, jak — do rodziny. Stąd — do Warszawy?...

Wciąga ta „Trzecia Płaszczyna” — i już zatrzymuje. Inżynier Zofia Kiernicka wyszła za inżyniera Tadeusza Kaznowskiego. Już zostaną. Trzeba ich będzie odwiedzić w ich nowym mieszkaniu w nowowbudowanym bloku. I trzeba będzie sprawdzić, czy Janiczka już wróciła. Janiczka poznałem pierwszego zaraz dnia. Był dwa lata na politechnice i rzucił, bo mu ciężko było, nie dawał rady, zrezygnował. Przyjechał na „Trzecią Płaszczynę”, pół roku popracował (jako umysłowy) i postanowił skończyć politechnikę. Wzięło go. Na „Trzecią Płaszczynę” wróci już jako inżynier. A Kazimierz Koperniak? Na „Trzeciej Płaszczynie” został brygadziwą, wysłano go na kurs majstra i na kurs techników, wróci jako technik. Wciąga ta „Trzecia Płaszczyna”. Wolniaczyk, kierownik obiektu Wielkie Piece, Wacław Wolniaczyk, od miesiąca dojeżdża z Teklinowa (pow. Radomsko), co dzień wstaje o czwartej trzydzieści, a kładzie się spać o północy. Iu jest takich, jak on, dojeżdżających — robotników, majstrów, inżynierów — jednego dnia nie opuściwszy, bez względu na pogodę, na jesienne roztopy, na zasypy śnieżne, bywa że i pieszko, bo komunikacja na tę „Trzecią Płaszczynę” do najlepszych, niestety, nie należy! A iu jest również takich — robotników, majstrów, inżynierów — którzy urządzili się na miejscu, rodziny mając gdzie indziej, daleko, z rodziną nie widząc się nieraz całymi tygodniami. Wciąga ta „Trzecia Płaszczyna” i trzyma.

A byli i tacy, co próbowali uciec. Z najrozmaitszych powodów. W życiu, wiadomo, różnie bywa. Krzywdy prawdziwe, krzywdy urojone, ambicja, zazdrość... Byli i tacy, co próbowali uciec, rzucić wszystko, przenieść się gdzie indziej. Ale większość wracała. Niektórzy jeszcze niedawno przebąkali, że chyba sobie pójdą, że będą się starać o przeniesienie, że za trudne warunki, że tylko do uruchomienia pierwszego pieca... Już na ten temat nie mówią. Jakże nie przywiązać się do tego, co rośnie ci w oczach jak własne dziecko?...

— Co słyhać Kamiński, jak zdrowie dziecka?

Kierownik obiektu podstacji elektrycznej, technik Zbigniew Kamiński, gdy go poznałem, miał kłopoty rodzinne, brak opieki nad dziećmi, przynębiony. Ktoś nawet, pamiętam, powiedział, że Kamiński się załamał... Gdzie tam! Szczerzy zęby: on by się załamał? Ten „z medalami”? Dziewięć ich ma, polskie i radzieckie, za Warszawę i Berlin, za Odrę, Nysę, Bałtyk, za zwycięstwo i wolność. Mówią o nim „prawdziwy Kamiński” — twardy jak kamień. On by się załamał? Gdzie? Na „Trzeciej Płaszczynie”, gdzie młodzi aktywiści na wyższych stanowiskach partyjnych zaczynają lepiej rozumieć, że nawet ludźmi „twardymi jak kamień” należy się opiekować... że człowiek — to żywa istota, że trzeba się nim interesować, że trzeba mu pomagać?

Czy można o was napisać, towarzyszu Wróblewski? Chyba tak. Zdzisław Wróblewski ma dwadzieścia sześć lat, starego ojca i starą matkę, która — pamiętamy — mówiła, żeby sobie poszedł. Bo pil. Wszystko przepijał. Po każdej wypłacie. Aż do zamroczenia, on, towarzysz partyjny od czterdziestego piętego, trzy razy postrzelony w walce z bandziorami w kieleckim — brygadziwa. Nie wstyd ci? — mówili towarzysze. Pił dalej, staczał się. Sprawa Wróblewskiego stanęła na zebraniu partyjnym. Wykluczyć z partii — wołali towarzysze. Wykluczenia domagali się członkowie egzekutywy. Na szczęście — nie wszyscy. Afanasiewicz powiedział: „Za winka do niego

strzelali, nie uciekali przed wrogiem, pomagali nam — mamy mu nie pomóc teraz, gdy z nim źle?” W tym samym duchu wystąpił Ceglarek. A Zwierzchowski wziął go pod swoją opiekę, jak to mówią, na swoją odpowiedzialność. „Na szczęście” — mówią dziś ci, co wtedy żądali wykluczenia, towarzysz Sobianowski, towarzysz Wrona, i uśmiechają się z takim ciepłym, ludzkim zakłopotaniem, z taką ciepłą, ludzką samokrytyką — „na szczęście”. Bo z Wróblewskiego inny człowiek. Wróblewski przestał pić. Wróblewskiego do picia nikt nie namówi. W chwilach najcięższych — po tym jak go Zwierzchowski wziął pod swoją opiekę — Wróblewski mówił sobie na głos: „Jak było ciężko — wstąpiłem do partii, a teraz dać się wyrzucić? Życie nastawiałem za mój ustrój — a teraz mam być najgorszym?” Wróblewskiego brygada została nazwana imieniem „Bohatera Pracy”. To jego brygada rzuciła pierwsza wezwanie do wszystkich załóg „Trzeciej Płaszczyny” o najszybsze uruchomienie wielkiego pieca nr 1. Trzy ubrania sobie kupił i buty. Matka już go nie wyrzuca. „Partia mnie uratowała” — mówi Wróblewski. Tak, partia go uratowała, młoda partia „Trzeciej Płaszczyny”.

Przypominają mi się w tym miejscu słowa Stefana Noweka, wice, kierownika nowouruchomionej pompowni, w związku z naszym starym znajomym, inżynierem Areckim: „My tu na naszej socjalistycznej budowie przez poznawanie własnych błędów budujemy samych siebie. Uczymy się, bo to nie jest łatwe, nie obrażać się na krytykę i przyjmować ją w formie przyjacielskiej, szczerze uwagi...”

— No cóż, inżynierze Johann, na niedzielę pojedziecie do swojej Barbary?

W niedzielę po południu naczelny inżynier pójdzie ze swoją pięcioletnią córką na spacer. Jeszcze jeden kłopot spadł z głowy: turbodmuchawy, pamiętacie? w swoim czasie — najbardziej zagrożony obiekt. Już są zamontowane. Jak koło dzieci chodzą przy turbodmuchawach majster Jędrzejczyk i towarzysz Usanow, który przyjechał z ich ojczyzny, by je uruchomić w Polsce. Dobrze się rozumieją majster Jędrzejczyk z towarzyszem Usanowem. Majster Jędrzejczyk uczył się rosyjskiego trzydzieści lat temu. Dziś uczy się na nowo. Wtedy rozmawiał ze stupajką, dziś — z towarzyszem. „I język się zmienił — mówi majster Jędrzejczyk — i ludzie się zmienili. I turbiny” — dodaje majster Jędrzejczyk. Od dwunastu lat pracuje przy turbinach, szwajcarskich, niemieckich, szwedzkich, francuskich. Te — radzieckie, odznaczają się solidnością, większą precyzją. Majster Jędrzejczyk pokazuje napis na skrzyni w języku rosyjskim: „WIERCH. NIE KANTOWAT”. POLSZA”.

— Tak to jest właśnie po rosyjsku — mówi majster Jędrzejczyk — nie kantować...

— A co z waszą rezygnacją, inżynierze Dauksza?

I śmiejemy się razem.

W lutym pięćdziesiątego drugiego inż. Kazimierz Dauksza złożył rezygnację. Po prostu chciał odejść z „Trzeciej Płaszczyny”. Powiedział, że w tych warunkach więcej nie może. Dauksza, mianowicie, ukończył politechnikę w 1951. Z dyplomem Budowy Stacji Kolejowych i Mostów Stalowych znalazł się na „Trzeciej Płaszczynie”, gdzie budowano hutę. Zaczął pracować jako inżynier budowy na odcinku wielkich pieców, po czterech miesiącach został kierownikiem odcinka. Powiedziano mu, że będzie pełnił obowiązki kierownika do czasu przyścia nowego, najpóźniej — do stycznia 1952. Nadszedł styczeń, potem luty. Nie, w tych warunkach więcej nie może, nie jest w stanie: setki ludzi pod sobą, a tylko trzech techników, i to młodych, i siebie samego — z praktyką sześciomiesięczną. I tak — inż. Dauksza złożył rezygnację. A w tym czasie szalowali i zbroili zasobniki. Samych stempli — sześćdziesiąt tysięcy metrów, piętnaście tysięcy metrów kwadratowych deskowania, dwieście ton zbrojenia. W tym czasie przystąpili również do betonowania składowiska rud — szło o tysiące metrów sześciennych betonu. W tym czasie młody inżynier Dauksza powiedział sobie, że beton będzie podawał za pomocą pomp. Cóż — kiedy nie szło. Sześć prób — wszystko na nic. Uważał się. Nie spał po nocach. Badał, szukał przyczyn. To trwało do kwietnia. Był już nawet taki moment, że się załamał. Towarzysz Pisarek z Bazy Sprzętu pomógł. Powiedział: „Inżynierze, spóbulujemy jeszcze raz”.

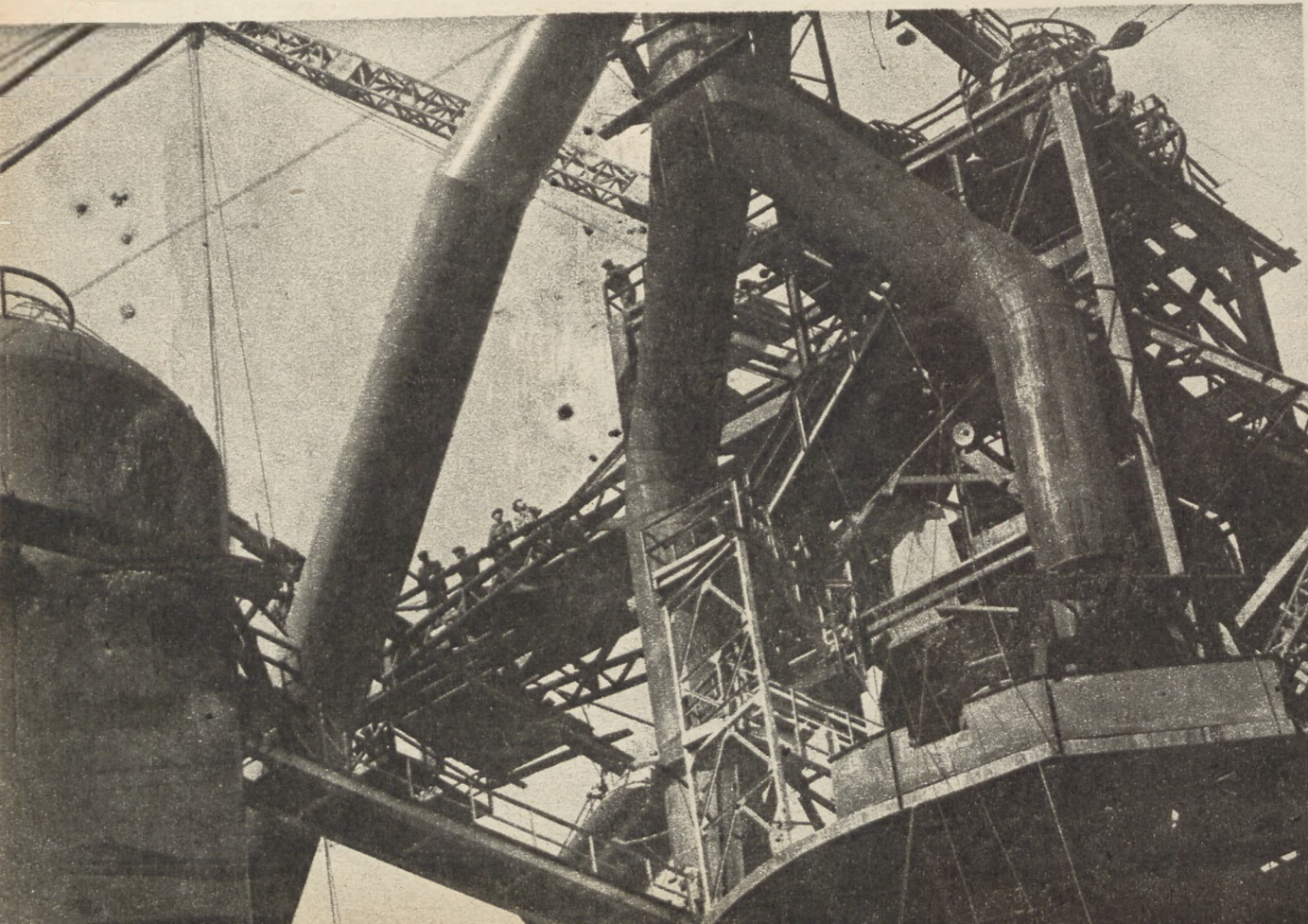
Od tego czasu dziesiątki tysięcy metrów sześciennych betonu popłynęło pompami na „Trzeciej Płaszczynie”.

— A co z waszą rezygnacją, inżynierze Dauksza? W czasopiśmie „Budownictwo Przemysłowe” ukazał się właśnie artykuł inżyniera Daukszy, w którym pisze m. in.: „Koledzy w wykonawstwie, którzy zastosowali pompę do betonu na swych placach budowy, o ile zwrócić uwagę na sprawne usuwanie trudności wynikających z zastosowania nieznanego sobie sprzętu, staną się niewątpliwie jej zwolennikami”. Obecnie Dauksza opracowuje coś nowego, o czym wkrótce będzie mowa. Nie, nie ma już mowy o rezygnacji. „Trzecia Płaszczyna” zatrzymała go, wciągnęła, zdobyła.

Wielu, bardzo wielu jest zdobywców „Trzeciej Płaszczyny” i... zdobytych.

A tymczasem na wielkim piecu nr 1 coraz mniej czerwieni. Czerwień minii, ochraniającej od rdzy, pokrywa stalowa barwa farby ochraniającej od powietrza. Wygląda to, jak gdyby wielki piec nakładał na siebie kombinezon roboczy. Już wkrótce będzie mógł zabrać się do roboty.

Fot. W. Sławnu



FOTO

KORRESPONDENCI DONOSZA

SKARBY DŃA MORSKIEGO



Franek Tkaczyk schodzi pod wodę. Palnik wyrzuca na powierzchnię bryzgi wody i strumień sprężonego gazu.

Nurek jest gotów do zejścia pod wodę. Ciężki, obciążony oliwem, zamknięty w wodoszczelnym skafandrze, porusza się powoli, z godnością. Choćby nawet chciał poruszyć się zwawiej — nie zdoła. Samemu ołowiu umocowano na nim kilkadziesiąt kilogramów. W rękę — jak czarodziejską różdżkę — trzyma szczyty ognia palnik tlenowodorowy. Schodzi po drabinie do wody. Palnik już nie syczy. Huczy — wyrzucając parę i bryzgi wody...

Franek Tkaczyk, przodujący nurek ekipy ratowniczej PRO-holownika „Swarożyc” ma ciąć pod wodą stalowe blachy i wyrównywać brzegi otworu, wyrwanego w burcie statku lotniczą bombą. Tam przyjdą później uszczel-



Nurek Tkaczyk po pracy. Za chwilę kolega uwolni go od ciężkich, podbitych oliwem butów.

nienia. Wrak będzie wydobyty na powierzchnię.

Im głębiej — tym ciemniej. Woda z seledynowo-żółtej robi się ciemnobrowa, prawie czarna. Płomyk palnika błyszczy jak robaczek świętojański, za to huczy jak pikujący samolot. Tkaczyk przesuwa się do wystrzępionych boków wyrwy. Aby zrobić krok naprzód, trzeba pochylić się nie mniej niż na

czterdzieści pięć stopni do przodu. Wydaje się, że zaraz padnie się twarzą w dół. Ale nie — powietrze w skafandrze ciągnie do góry. Nie da upaść. Franek przystawia palnik do czarnej stali — woda bulgoce wściekle. Ogień pod wodą topi stal...

Można znać zasady działania palnika, ale mimo to pierwsze zetknięcie się z podwodnym cięciem stali przy pomocy ognia — robi wrażenie. I to nie byle jakie... Zdaje się, że wbrew naturze na grubej, pokrytej wodorostami stalowej blasze ukazuje się ciemnowisniony punkcik — coraz jaśniejszy, coraz jaskrawszy... Nurek włącza pełny gaz. Teraz huk zagłusza nawet pytania rzucane z powierzchni przez telefon. Powoli, bardzo powoli prowadzi Tkaczyk palnik po stali. Wreszcie wielki kawał grubej blachy bezgłośnie spada na dno. Aż dziw, że nie słychać brzęku.

Stal... Coraz więcej stali pochłania nasze budownictwo... Coraz więcej stalowych maszyn, traktorów, samochodów, kombajnów węglowych, pługów opuszcza fabryki... A wiadomo, że do wytapienia stali potrzebny jest żelazo. Im więcej produkujemy stali, tym większe jest zapotrzebowanie na żelazo.

Jest go wiele na niedawnym poboju wojennym pięćsetkilometrowego wybrzeża. Leżą na dnie — często na znacznych głębokościach — zatopione podczas działań wojennych hitlerowskie statki i okręty. To one dostarczają nam wielkich ilości żelaza.

Ale, aby wrzucić do pieca martenowskiego pociełe burtę jakiegoś zatopionego statku, trzeba go wydobyć z dna. Wywód prosty i logiczny — ale nie tak proste jest jego wykonanie. Zanim nurek zacznie ciąć blachy, zakładać plastry (łaty ważące często kilka ton), musi rozpoznać przed tym stan okrętu, uszkodzenia, sprawdzić, czy ładunek nie zawiera niebezpiecznych materiałów, jak np. bomby gazowe itp.

Nurkowie są oczkiem w głowie wszystkich ekip ratowniczych. Ekipy ratownicze to oddziały produkcyjne PRO. Ekipa, zależnie od warunków pracy i możliwości technicznych, wydobywa rocznie od kilku do kilkunastu tysięcy ton żelaza. Ale nie tylko żelazo — nierzadko podniesione z dna statki nadają się do remontu i zasilają naszą flotę. Często maszyny i urządzenia okrętowe, sporządzone z nierdzewnych metali, są zdadne jeszcze do użytku i wymontowane z wraków zajmują miejsce starzych i zużytych maszyn na lądzie i okrętach.

Przysłowione „skarby z dna morskiego...”

Leonid Teliga, Warszawa



Połączny dźwig wyjmuję z kadłuba urządzenia i maszyny.

Z końcem kwietnia i w początkach maja rozpoczął się letni turnus SP. Kilkadziesiąt tysięcy chłopców przystąpiło w brygadach Służby Polsce do pracy przy potężnych budowlach Planu Sześcioletniego.

Młodzież z okolic podwarszawskich pojechała między innymi do Częstochowy, gdzie znalazła zatrudnienie przy budowie wielkiej huty oraz kolejowej linii elektrycznej, któ-

ra łączy Warszawę ze Stalinogrodem.

Za pracę swą junacy otrzymują poza umundurowaniem i wyżywieniem normalne wynagrodzenie gotówką. Pozwala to junakom na poczynienie sporych oszczędności, które umożliwiają pomoc dla rodzin.

W brygadach szybko zawierają chłopcy nierzadko i trwałe przyjaźni. Dwa nowi przyjaciele — ochotnicy do brygad



„DZIEJE ZIEMI”

W Muzeum Przyrodniczym w Poznaniu w licznych gablotkach rozmieszczono setki eksponatów, zdjęć, objaśnień, map i innych przedmiotów, które składają się na wystawę pod nazwą „Dzieje Ziemi”. Wystawę przygotowali — mgr Kornat z Instytutu Geologicznego we Wrocławiu



i dr Różkowska z Uniwersytetu Poznańskiego.

Zwiedzanie zacząć należy od eksponatów, które pokazują nam tworzenie się ciał niebieskich i położenie ziemi we wszechświecie. Przechodząc później kolejno przez wszystkie ery i okresy — dowiadujemy się, co ważnego dla naszej ziemi działo się w tych czasach, jak zmieniał się układ łądów i mórz.

Powszechną uwagę budzą podobizny ichtiosaury, mamuta, daleki paproć nasienna, odbitka w łupku z okresu węglowego, postać neandertalczyka oraz rogi jelenia olbrzymiego, znalezione w Irlandii (340 m rozpiętości!).

Wystawę „Dzieje Ziemi” odwiedza szczególnie chętnie młodzież szkół poznańskich.

Zbigniew Tempaki, Poznań

W KAMIENIU POMORSKIM

Teren Pomorza Zachodniego zamieszkiwały plemiona Wielątów, Obotrytów i Wolinian. Gdy Mieszko I wcielił Pomorze Zachodnie do Polski, Światopełk, swego przyrodniego brata, osadził w Kamieniu. Przeniesiono tutaj późniejszą biskupstwo, założone przez Bolesława Krzywoustego w Wolinie. W 1247 r. Kamień



niowi przyznano prawa miejskie. Wielokrotnie podbijane przez Duńczyków i Niemców miasto Kamień zwycięsko przetrwało wieki i zachowało aż do ostatniej wojny wiele cennych zabytków przeszłości. Wśród nielicznych, ocalałych fragmentów starego miasta możemy jeszcze i dziś podziwiać katedrę z XII w. Całość — z wyjątkiem wieży — gotycka, o pięknych romańskich fragmentach. Katedra posiada również barokowe organy. Kolumnowy ganek otacza dziedziniec. Naprzeciw katedry znajduje się gotycki Pałac Biskupi. Całość nadaje miastu zabytkowy charakter.

Kamień Pomorski leży nad Zalewem Kamieńskim, naprzeciw wyspy Chrzęszcowa, na której znajduje się słynny, narzutowy kamień polodowcowy o obwodzie 20 metrów.

M. L.

500 PRZEDSTAWIEŃ — 47 SZTUK

Teatr Robotniczy w Bielsku Podlaskim, zorganizowany przy bielskich zakładach włókienniczych im. II Armii W.P., wystąpił z nową premierą „POEMATU PEDAGOGICZNEGO” Makarenki w reżyserii Teodora Mierzei.

Bielski teatr robotniczy posiada przy fabryce własną salę teatralną, wyposażoną w niezbędny sprzęt sceniczny. Jest to jego stała baza, z której ten znany już w całej Polsce zespół organizuje wyjazdy w teren. W ciągu 6 lat swego istnienia teatr dał ponad pół tysiąca przedstawień wystawiając 47 sztuk autorów polskich i obcych. Największym powodzeniem cieszyły się sztuki: „Młoda Gwardia” (nagroda państwowa), „Brygada szlifierza Karhana”, „Wodewil Warszawski” i komedia „Tu mówią Tajmyr”. Zespół aktorski liczy 128 osób. Ponadto istnieje jeszcze 120-osobowy chór i 24-osobowa „grupa taneczna. 90% członków zespołu — to robotnicy. 10% — inteligencja technicz-

na. Zespół zdobył liczne wyróżnienia w festiwalach sztuk polskich i radzieckich

Leon Panta, Łódź



Scena z „Poematu pedagogicznego” Makarenki, wystawionego przez Teatr Robotniczy w Bielsku

MŁODZIEŻ Z OKOLIC PODWARSZAWSKICH W BRYGADACH SP.

SP, Ryszard Felberg z Juliana i Paweł Gałazka z podwarszawskich Zabek, wspólnie oglądają nowe buty... „Mocne” — brzmiał fachowa ocena — „solidnie będzie w nich można popracować”...

Wszyscy junacy w brygadzie czują się doskonale: praca idzie raźnie, a apetyty i humory stale dopisują.

Po pracy i szkoleniu mło-

dzień spędza czas na rozrywkach świetlicowych.

Nie brak tu i artystów. Ryszard Maciąg z Juliana świetnie gra na akordeonie, zorganizował więc zespół chóralny, w którym przodują: Mieczysław Pinkosz ze Strugi, Feliks Żurawski z Marek, Janusz Sobieski z Pustelnika i Kazimierz Ojda z Tuszcza.

T. Czabański, Warszawa
Zdjęcie: St. Dziubiński

UWAGA FOTODAMATORZY!

Związek Polskich Artystów Fotografików na zlecenie Komitetu dla Spraw Turystyki ogłosił VI kolejny konkurs fotograficzny pod hasłem: „Uprawiajmy turystykę kwalifikowaną”. Cenne nagrody, z których największa wynosi zł 2.000 — oraz to, że nagrodzone zdjęcia wzbogacą archiwizację krajoznawczą, dodadzą konkursowi atrakcyjności.

Turystyczne konkursy fotograficzne cieszą się wielką popularnością, a ogłoszenie tegorocznego konkursu zbiegło się z Trzecią Ogólnopolską Wystawą Fotografiki, gdzie znajdują się liczne fotografie nagrodzone na poprzednich konkursach fotografii turystycznej.

Informacje i regulamin konkursu otrzymać można w Związku Polskich Artystów Fotografików, Warszawa, ul. Śniadeckich 10, oraz we wszystkich komórkach Polskiego Towarzystwa Fotograficznego i w oddziałach PTFK.

Poniżej reprodukowujemy zdjęcie zwycięzcy tegorocznego konkursu, F. Zwierchowskiego, który otrzymał I miejsce za całość złożonych prac. Tegoroczny konkurs ogłoszony był pod hasłem: „Odkrywamy Polskę mało znaną”.

Reprodukowane zdjęcie przedstawia fragment Tarnowa.

Tadeusz Palacz, Warszawa



FOTOGRAFIA NA CODZIEN

POLSKIE TOWARZYSTWO FOTOGRAFICZNE

Wielu naszych Czytelników zwracało się i nadal zwraca się z pytaniami o kursy, odczyty, wycieczki i wykłady fotograficzne. W związku z tym podawaliśmy już kilkakrotnie adres Polskiego Towarzystwa Fotograficznego — w skrócie: PTF — będącego masową organizacją skupiającą liczne rzesze fotografatorów i powołaną do rozpowszechniania fotografii jako wiedzy, umiejętności i sztuki.

Do szerokiego zakresu działalności PTF, nie zawsze co prawda realizowanej dotychczas z braku odpowiednich środków ku temu, należy urządzenie zebrań, pokazów, odczytów, wystaw, konkursów, udzielanie porad, prowadzenie czytelników i czasopism, reprezentowanie interesów polskiego świata fotograficznego wobec władz państwowych, wyjednywanie dla swych członków pozwoleń na zdjęcia.

Członkiem PTF może być każdy obywatel polski, który ukończył 18 lat, złożył deklarację członkowską i został przyjęty przez Zarząd. Wpisowe wynosi 3 zł, składka miesięczna — 3 zł. Dowodem członkostwa jest legitymacja wydana przez Zarząd Oddziału.

PTF posiada obecnie 21 Oddziałów, których władze mają siedzibę w następujących miastach: Białogard, Częstochowa, Gdańsk, Gniezno, Gliwice, Kraków, Lublin, Łódź, Opole, Piotrków, Poznań, Rzeszów, Stalinogród, Stargard, Szczecinek, Srem, Świecie, Tarnów, Toruń, Warszawa, Wrocław. Władzą wykonawczą każdego Oddziału jest wybrany przez coroczne walne zebranie Zarząd, składający się z prezesa, wiceprezesa, sekretarza, skarbnika, bibliotekarza i gospodarza.

Siedziba Zarządu Głównego PTF mieści się w Poznaniu, przy ul. Solackiej 13.

W Warszawie przy ul. Śniadeckich 10 znajduje się tylko Oddział PTF, który w czerwcu prowadzi dwa miesięczne kursy dla początkujących, a w najbliższej przyszłości zamierza rozpocząć kursy dla fotografatorów zaawansowanych. Przy Oddziale czynna jest czytelnia. Co dwa tygodnie organizowane są odczyty z dyskusjami.

Na jesień br. odbędzie się Walny Zjazd delegatów Oddziałów PTF, na którym wybrany będzie nowy Zarząd Główny i wytyczone zostaną nowe linie rozwojowe Polskiego Towarzystwa Fotograficznego. Wobec wielkiego rozwoju ruchu amatorskiego i doceniania w pełni przez państwo jego znaczenia, przed Polskim Towarzystwem Fotograficznym otwierają się dziś nowe zadania i nowe możliwości.

SCENICZNY SUKCES POWIEŚCI

„BIEG DO FRAGAŁA”

W TEATRZE POLSKIM WE WROCŁAWIU

PRZERÓBKİ powieści na scenę to rzecz ryzykowna. Pamiętam ostrą dyskusję, jaka niedawno toczyła się nad „Lalką” Prusa — Leśnodorskiego, pamiętamy obie nienajlepsze przeróbki „Poematu pedagogicznego”.

Ostatnio na scenie Teatru Polskiego we Wrocławiu ujrzałyśmy jeszcze jedną adaptację sceniczną powieści nie tylko znanej, ale wciąż jeszcze gorąco dyskutowanej — powieści aktualnej.

Jakub Rotbaum, laureat Nagrody Państwowej (za realizację „Człowieka z karabinem” i „Pogodina” w teatrze wrocławskim) i Sylwia Swen podjęli próbę uscieniczenia „Biegu do Fragała” Juliana Strykowski. Prapremiera sztuki „Bieg do Fragała” odbyła się przed kilku tygodniami i należy stwierdzić, że tym razem przeróbka sceniczna powieści się udała. „Bieg do Fragała” w jego teatralnym kształcie zdobył uznanie nie tylko widzów, lecz również czytelników powieści. Stworzono widowisko sceniczne trzymające widza w napięciu przez całe 11 obrazów, a równocześnie nie uroniono niczego z węzłowych problemów i wartości książki Strykowskiego.

WALKA KOŃCZY SIĘ ZWYCIĘSTWEM

Sprawy to na pozór odległe, rozgrywające się na dalekim, wypalonym przez słońce półwyspie Kalabryjskim, a jakże bliskie nam wszystkim! W małej wiosce Rocca di Zolfo walczą o prawo do życia bezrobotni najemnicy. Nie powstrzymują ich szlaki karabinierów, więzienia ani śmierć towarzyszy. Lud włoski dojrzewa do wspólnej walki, zdobywa ugory baronów Berlingieri, aby obsiać je życiodajnym zbożem.

W Polsce Ludowej mamy już tę walkę o sprawiedliwy podział ziemi za sobą. Tym goręcej śledzimy jej przebieg wśród narodów uginających się jeszcze pod jarzmem kapitalistycznych rządów różnych De Gasperich. Bo zwycięstwo w tej walce — to zwycięstwo sprawiedliwości i pokoju.

Na scenie Teatru Polskiego we Wrocławiu wieś włoska dojrzewa do wspólnego czynu w tej samej atmosferze ostrej walki klasowej, co w powieści Strykowskiego. Problem w teatrze jest tak samo jasno zarysowany, a rozwiązanie, mimo śmierci głównego bohatera, napawa nas tą samą wiarą w przyszłość, tym samym optymizmem, co piękna książka.

I to jest pierwsze zwycięstwo „Biegu do Fragała” na scenie.

WŁOCHY PRAWDZIWE

Już dawno przestaliśmy wyobrażać sobie Włochy jako „Bella Italia”, gdzie żyją „szczęśliwi w nędzy” ludzie, a lazrowe niebo, śpiew i tańce zastąpić mogą dach nad głową, pracę i łyżkę strawy. Prawdy o skalistych ugorach, bezrobociu, nędzy i ucisku dowiedzieliśmy się z relacji ludzi, którzy nie patrzyli na Włochy okiem turysty z Baedekerem w ręku. Prawdę zobaczyliśmy w postępowych filmach włoskich. Te prawdziwe Włochy ukazał nam w świetnym skrócie jednej wioski Rocca di Zolfo Julian Strykowski. Tę prawdę przeniósł na scenę reżyser wrocławski przedstawienia, Jakub Rotbaum. Nędza bezrobocia, głód pracy i coraz gwałtowniejszy gniew ludu przemawiają ze sceny mocno i dobitnie. Dramat wsi włoskiej rozgrywa się wśród wypalonych słońcem wzgórz, w pozbawionych wody, zarosłych nędzną roślinnością wąwozach, w ziemiankach okopconych dymem ogniska. Taką prawdziwą, piękną w swej surowości, jakże nie podobną do słodkich „widoków z Neapolu” oprawił dla widowiska scenograf Aleksander Jędrzejewski.

Ukazanie prawdziwego oblicza wsi włoskiej to drugie zwycięstwo „Biegu do Fragała” na scenie.

BOHATERZY POWIEŚCI NA SCENIE

W sprawy społeczne, w sprawy ogółu wplecione są mocno osobiste przeżycia bohaterów. Strykowski ukazał je w dziesiątkach spotkań, w mnóstwie króciutkich wydarzeń, które konsekwentnie prowadzą do jednego celu. Na scenie ujrzałyśmy tylko węzłowe skrzyżowania drogi, jaką ludzie z Rocca di Zolfo przeszli wywalczając zwycięstwo w wydarciu z rąk obszarńnika kotlinie Fragała. Bohaterzy „Biegu do Fragała” na scenie są żywymi ludźmi — martwią się i cieszą, przeklinają i śpiewają, kochają miłością gwałtowną, a przede wszystkim nienawidzą ucisku, nienawidzą niesprawiedliwego ustroju, nienawidzą kłamliwej propagandy De Gasperiego tak samo mocno jak karabinierów Scelby.

Tę prawdę sprawiedliwej nienawiści odkrywa główny bohater dramatu Toto (Jerzy Adamczak), który po ośmiu latach



Bójka kobiet w Rocca di Zolfo. (Od lewej: H. Dzieduszycka, R. Fijałkowska, E. Szumańska i M. Kozakowska).



Przed pałacikiem księdza. (Od lewej: M. Zbyszewska (Chiara) i I. Netto (matka Immacolata)).

Kobiety u źródła. (Od lewej: H. Chmielewska, S. Wiśniewska, M. Zbyszewska, D. Korycka, I. Hrehorowicz, E. Szumańska i H. Dzieduszycka).



pobyty w niewoli w dalekiej Australii wrócił do domu, bo myślał, że Włochy są wolne. Wyzbyć się złudzeń i nędzy okazało się trudnym. Droga Toto do połączenia się we wspólnej walce z towarzyszami z Rocca di Zolfo nie odbywa się bez wahań. Widzimy na scenie jego załamania i przemiany. Wierzimy w jego przemianę.

Wierzimy też sekretarzowi sekcji komunistycznej w Rocca di Zolfo, Armando (Stanisław Jasiukiewicz), gdy z pogodną siłą przekonuje łamistrąjków, gdy ratuje bezrobotnych najemników od zdrady, jaką jest stworzenie „związku zawodowego”, stojącego na usługach barona Berlingieri i rządu De Gasperiego. Bo nie wszyscy bezrobotni nędzarze z Rocca di Zolfo mogą się oprzeć brutalnej przemocy karabiniera Prezzo (Stanisław Igar) i obłudnym obietnicom księdza Luigi (Janusz Obidowicz). Jednych, jak uczciwych w gruncie rzeczy Sandra (Igor Machowski), głód zmusza do wzięcia zaliczki za trzystąpienie do łamistrąjków. Inni, jak tchórzliwy Concetto (Henryk Hunko), nie cofają się przed zdradą. Są wreszcie

i tacy, jak siostra Toto — Maria (Danuta Korycka), w których bunt przeciw niesprawiedliwości i nędzy zamienia się w nienawiść do najbliższych, do całej wsi, do całego życia. Starzy, jak matka Immacolata (Irena Netto), są zagubieni w walce. Ale większość walczy, ogromna większość wierzy w zwycięstwo. I ta walka, codzienna walka ludzi żywych, z ich troskami i załamaniem i powracającą wiarą w zwycięstwo, przemawia do nas mocno ze sceny teatru.

I to jest trzecie zwycięstwo „Biegu do Fragała” w teatrze, zwycięstwo autorów adaptacji, reżysera i całego bardzo dobrze grającego zespołu.

Warto zobaczyć „Bieg do Fragała” w teatrze. Warto odnaleźć na scenie bohaterów, z którymi żyliśmy się czytając powieść Strykowskiego. Bo 11 obrazów „Biegu do Fragała” w teatrze wrocławskim, to nie są tylko ilustracje do książki Strykowskiego, ale teatr prawdziwy, teatr wzruszeń i dramatycznych śpiewów. Teatr bliski nam i zrozumiały, który pokazał nam bohaterów walących chłopów kalabryjskich o ziemię.

WIDZ

HENRYK BARBUSSE – PISARZ ANTYIMPERIALISTYCZNY

W MAJU br. minęła osiemdziesiąta rocznica urodzin Henryka Barbusse'a, jednego z największych francuskich pisarzy rewolucyjnych.

Życie i dzieło Barbusse'a wypełnia bez reszty jedna sprawa: walka o pokój. Tej sprawie Barbusse poświęcił swój talent, wszystkie swoje siły. Był jej trybunem, organizatorem i żołnierzem w okresie międzywojennym.

Z powodu przypadającej w roku bieżącym rocznicy, w ojczyźnie pisarza i w Związku Radzieckim ukazał się szereg publikacji wskazujących na dzieło Barbusse'a jako na przykład i natchnienie w dzisiejszej walce, którą ludzkość toczy z imperializmem.

„Ogień”, pierwsza wielka powieść Barbusse'a, narodziła się w okopach, a napisana została w lazarecie wojennym. Gdy ukazała się w druku — wojna europejska szalała w całej pełni. Był rok 1916. „Ogień” był wówczas gwałtownym protestem przeciwko zakłamanemu, przeciwko nacjonalistycznej propagandzie wojennej, zachłystującej się „honorami”, „godnością narodu” i „poświęceniem dla ojczyzny”. Barbusse ukazał nagą prawdę wojny. Powszedni dzień frontowego żołnierza przeciwstawił urzędowemu romantyzmowi „wojenki, wojenki”. Ukazał ludzką stronę wojny. Siegnął do ludzkiego nieszczęścia. Pokazał synów ludu, synów proletariatu wydanych na cierpienie i śmierć.

Barbusse nie ograniczył się w „Ogniu” do obnażenia wojny, do ukazania nagiej prawdy o wojnie, i na tym polega jego wielkość jako pisarza rewolucyjnego. „Ogień” nie jest tylko powieścią antywojenną w ogóle, nie jest jedną z powieści pacyfistycznych, jakich wiele powstało po wojnie 1914-1918. Barbusse powieść swoją pisał z wyraźnych pozycji ideologicznych. Z pozycji bardzo bliskich tym pozycjom, które my dzisiaj zajmu-

jemy. Przedstawiając grozę wojny autor „Ognia” wskazał na konkretnych jej sprawców. Wojna nie jest dla niego żywiołem, kataklizmem, ale narzędziem imperializmu. Barbusse oskarża kapitał, oskarża zbrojeniowe koncerny Kruppa i Schneidera, oskarża kapitalistyczne rządy europejskie, które każą milionom synów ludu ginąć za cudzą sprawę. „Ogień” jest pierwszą w literaturze francuskiej powieścią antyimperialistyczną.

Zapewne, postawie pisarza brak jeszcze konsekwencji. Dla bohaterów jego wizja przyszłego, lepszego świata jest jeszcze tylko pięknym marzeniem. Nie są oni przygotowani do czynu. Istotnie, tworząc „Ogień” Barbusse nie miał jeszcze wiary w rewolucyjną siłę mas ludowych. Nic w tym dziwnego zresztą. „Ogień” powstał w 1916 roku. Dopiero Rewolucja Październikowa, dopiero przykład Związku Radzieckiego uczyniły z Barbusse'a konsekwentnego i nieprzejednanego bojownika o wolność, o socjalizm, o pokój.

W następnej swej powieści („Jasność” — 1919) Barbusse pisze już wyraźnie: „Na ziemi żyje półtora miliarda wyzyskiwanych. Zanim nowy porządek nastanie, trzeba z korzeniami wyrwać stary ustrój”. Już w pełni wierzy, że dopiero socjalizm wyzwoli człowieka i położy kres wojnom.

Ta wiara w socjalizm jest źródłem i natchnieniem ogromnej, porywającej działalności Barbusse'a. Pióro pisarza nie wystarcza mu. Szuka kontaktu z masami, z żywym człowiekiem. Praca organizacyjna, działalność dziennikarska, publicystyczna... Tworzy międzynarodowy związek byłych uczestników wojny. Grupa „Jasność” (Clarte), której był głównym organizatorem, skupiała elitę postępowej literatury zachodnio-europejskiej z Anatolem Francem, Romainem Rollandem i Stefanem

Zweigiem na czele. Odegrała ona dzięki Barbusse'owi w latach 1919 — 1923 wielką rolę mobilizującą intelektualistów Europy Zachodniej do wojny przeciwko wojnie. Lenin żywo interesował się działalnością grupy Clarte.

Barbusse, od roku 1923 członek Komunistycznej Partii Francji, piórem pisarza i żywym słowem trybuna walczył w szeregach proletariatu. Demaskuje biały terror. Organizuje w Paryżu, Londynie i Wiedniu komitety w obronie ofiar białego terroru na Bałkanach. Otwiera Kongres Przyjaciół Związku Radzieckiego w Kolonii. Jest jednym z inicjatorów antywojennych kongresów w 1932 i w 1933 roku. Przed śmiercią (1935) pracuje nad zorganizowaniem Międzynarodowego Antyfaszystowskiego Kongresu Pisarzy w Obronie Kultury.

Barbusse wierzył w człowieka. Wierzył w potęgę dobra. Jego stosunek do Związku Radzieckiego jest przykładem nieomyślności serca. Jeden z pierwszych na Zachodzie powitał z entuzjazmem Rewolucję Październikową. W walce, którą toczył, Związek Radziecki był dlań natchnieniem i argumentem. Napisana pod koniec życia książka o Stalinie jest wyrazem miłości i podziwu dla wodza postępowej ludzkości.

Życie Barbusse'a jest przykładem żarliwości. Jego dzieło pisarskie jest jednym z największych pomników antyimperialistycznej sztuki.

ZBIGNIEW BIEŃKOWSKI



Henryk Barbusse

DROGA WYZWOLENIA KOBIETY

Dołączanie ze str. 11

wypowiedzi wielu kobiet, którym władza ludowa udostępniła oświatę. Małorolna chłopka pisze: „...To tak jakbym była niewidoma i raptem przejrzała na oczy”, a robotnica z Warszawy wyraża tę samą myśl w słowach: — „Dzisiaj wiem, co się dzieje na świecie i w kraju”.

W 1953 roku będziemy mieli w naszych szkołach wyższych 136 tysięcy studentów wobec niespełna 48 tysięcy w 1937 roku. Kobiety stanowią 40% ogółu studiujących. Ileż to nowych tysięcy kobiet zdobędzie wysokie kwalifikacje, stanie się kierowniczą kadrą realizacji naszego Wielkiego Planu.

Stalin uczył nas, jak wielka jest rola kobiet-matek. Mówił: „Robotnice i chłopki to matki, wychowawczynie naszej młodzieży — przyszłości naszego kraju. Mogą one okaleczyć duszę dziecka lub też dać nam młodzież o zdrowym duchu, która zdoła posunąć nasz kraj naprzód”.

I w Polsce Ludowej wysoko ceniona jest godność matki. Troska o rodzinę, o młodzież, o podniesienie zdrowotności, pomoc państwa dla matki i dziecka — przenika głęboko działalność państwa ludowego.

Czwarta część tegorocznego budżetu przeznaczona jest na wydatki socjalne i kulturalne, z czego znaczna część idzie na wydatki związane z opieką nad matką i dzieckiem.

W „Pamiętnikach chłopów” pisała przed wojną jedna z wielu nieszczęśliwych matek: „Moje córki... są to dziewczęta niezwykle zdolne, wzorowo się uczą i zdumiewająco są pojętne... w tym roku już jedna kończy siedem oddziałów... ogromną mają chęć uczyć się dalej, ale cóż z tego... chciałabym wywalczyć im lepszą dolę od mojej, bo wiem, jak mnie ciężko było żyć na świecie, a teraz jeszcze ciężiej patrzeć na niedolę swych dzieci i beznadziejną ich przyszłość...”

Dzisiaj matki spokojnie patrzą w przyszłość.

Stalin uczył miłości Ojczyzny i głębokiej solidarności międzynarodowej. Tak

wychował kobiety radzieckie. Ich płomienny patriotyzm, któremu dały wyraz w walce z faszyzmem i w imię którego dziś poświęcają wszystkie swe siły budownictwu komunizmu w swoim kraju, na zawsze przejdzie do historii, stając się, jak mówiła Dolores Ibarruri, „chlubą i dumą kobiet całego świata”.

W tej świętej miłości Ojczyzny i poczuciu wspólnoty z kobietami wszystkich narodów wychowują się dziś kobiety polskie. Pięknym wyrazem tej solidarności międzynarodowej są uczucia kobiet polskich wobec wszystkich walczących o wolność kobiet, a w szczególności wobec matek bohaterskiej Korei.

Z mojego pobytu w Korei niezapomniane wrażenie pozostawiła mi rozmowa ze starszą kobietą we wsi Wuol-san nazwiskiem Umal-cze. Straciła ona podczas wojny jedenaścioro dzieci. I oto ta matka, której zadano ogrom cierpienia, mówiła: „Zrobię wszystko dla zwycięstwa pokoju. Nie chcę, aby inne matki spotkała boleść podobna do mojej”.

A jakby w odpowiedzi na jej słowa kobiety w Polsce mówiły: „Aby wspomóc matkom koreańskim, matkom i dzieciom całego świata, uczynimy każdą rodzinę w Polsce mocnym ogniwem w walce o pokój”.

W tych dniach rozpoczyna się w Kopenhadze Światowy Kongres Kobiet. W centrum uwagi Kongresu stanie sprawa wzmocnienia walki o polityczne, społeczne i ekonomiczne prawa kobiet. Kongres, zwołany z inicjatywy Światowej Demokratycznej Federacji Kobiet, stanie się trybuną dla każdej kobiety, niezależnie od jej przekonań, narodowości, rasy, wyznania i przynależności organizacyjnej, pragnącej dołączyć swój głos do głosów milionów kobiet walczących o swe prawa, o interesy matek i dzieci.

Uczył nas Stalin, że klasa robotnicza podniosła sztandar swobód demokratycznych, zdeptyant i zdradzony przez burżuazję.

W wielu państwach kapitalistycznych kobiety są pozbawione elementarnych demokratycznych praw. Obrady Komisji Praw Kobiet ONZ wykazały, jak szeroko rozpowszechniona jest dyskryminacja kobiet i jak dotkliwie godzi ona w ich żywotne prawa i interesy.

Na oficjalnej liście ONZ figuruje 15 państw, w których kobiety są całkowicie pozbawione praw politycznych. Do takich państw należą np. Szwajcaria, Egipt, Paragwaj, Kolumbia, Irak i inne. W innych państwach, w których kobietom formalnie przyznano prawo głosowania, miliony ich nie mogą z niego korzystać z powodu dyskryminacji rasowej, cenzusu wykształcenia, majątku itd.

Uścisk kobiet występuje najbardziej jaskrawo na odcinku ich sytuacji ekonomicznej. Dyskryminacja ekonomiczna kobiet ma różnorodne przejawy, lecz na czoło wysuwa się sprawa nierównej płacy za równą pracę. Ona to bowiem uderza najbardziej w prawa kobiet, w sytuację ich i ich rodzin.

Niezwykłą wymowę posiada fakt, że nawet w wysoko rozwiniętych państwach kapitalistycznych kobiety nie tylko otrzymują za swoją pracę wynagrodzenie znacznie niższe od zarobku mężczyzny, lecz że ta sytuacja w wielu wypadkach ulega pogorszeniu.

Oto np. sprawozdanie Departamentu Pracy USA z końca 1952 roku podaje, że o ile w roku 1939 przeciętna płaca kobiet wynosiła 59% zarobku mężczyzny — to w 1950 r. spadła ona do 45% — niżej połowy zarobku mężczyzny.

Nie dziwnego, że stosując tak niskie stawki dla kobiet, kapitaliści wyciskają w ten sposób miliardy dolarów dodatkowych zysków. W jednym tylko 1950 roku i tylko w przemyśle (bez uwzględnienia rolnictwa i handlu) przedsiębiorcy w USA osiągnęli blisko 5 i pół miliarda dodatkowego zysku, polegającego na różnicy w płacach mężczyzn i kobiet.

Najświeższe materiały zebrane w lutym 1953 r. przez Międzynarodowe Biuro Pracy, a dotyczące 13 państw kapitalistycznych, stwierdzają oficjalnie, że robotnice w przemyśle tekstylnym zarabiają przeciętnie od 20 do 40% mniej niż mężczyźni.

W wielu krajach dyskryminacja na odcinku płac dotyczy nie tylko robotnic, lecz również pracowników umysłowych. Urzędnicy państwowe i samorządowe oraz nauczycielki zarabiają tam prawie o 40% mniej niż mężczyźni.

Dodatkową formą dyskryminacji jest fakt, że kobiety zatrudniane są przeważnie w najniższych opłacanych zawodach. Statystyki w niektórych państwach podają, że blisko 40% kobiet pracujących zajmuje się pracą usługową jako pra-

cownice domowe, sprzątaczkę, itp. Wystarczy zresztą sięgnąć pamięcią do stosunków w Polsce kapitalistycznej, gdzie warunki pracy kobiet układały się podobnie.

Nie wolno też zapominać, że są kraje, gdzie kobiety są ograniczone w swych prawach z powodu rasy i koloru skóry. Tu powstaje już cała drabina dyskryminacji. Murzynka zarabia około połowy tego, co kobieta biała, ta zaś zarabia mniej niż biały mężczyzna, w rezultacie „czarna” kobieta pobiera za tę samą pracę około 1/5 części zarobku „białego” mężczyzny.

W krajach kolonialnych i zależnych trudno jest w ogóle mówić o politycznych czy ekonomicznych prawach kobiet. W krajach tych kobiety są pozbawione wszelkich praw, nawet prawa do własnej osoby mogą być przedmiotem kupna i sprzedaży, są własnością mężczyzny. W kopalniach i plantacjach afrykańskich zarobki miejscowej ludności są około 30 razy niższe od zarobków robotników europejskich. Kobiety pracują często wraz z dziećmi za łzykę strawy. Nędza i choroby koszą bez liku życie kobiet i dzieci.

W obliczu tego często tragicznego położenia kobiet w wielu krajach Świato- wy Kongres Kobiet stanie się wyrazem powszechnych żądań kobiet o ich słuszne prawa matek, pracownic, obywateli. Polska delegacja przekaze Kongresowi uczucia sympatii i solidarności kobiet polskich z walczącymi kobietami całego świata.

Stalin uczy, że „w dziejach ludzkości nie było ani jednego wielkiego ruchu uciśnionych, w którym by nie brały udziału pracujące kobiety. Kobiety pracujące, element ze wszystkich uciśnionych najbardziej uciśnionych, nigdy nie pozostawały i nie mogły pozostawać na uboczu od wielkiego szlaku ruchu wyzwolenieckiego”.

Nieśmiertelne nauki Józefa Stalina są potężnym orężem dla coraz szerszych rzesz kobiet wszystkich narodów i ras, uczestniczących w bohaterskich ruchach wyzwolenieczych, walczących o prawa kobiet, o pokojowe jutro świata.

ZOFIA WASILKOWSKA

GORĄCA WIEŚ

AMBINANITELO



Arkady Fiedler

ALE JEMU wcale nie do żartów. Wskazuje na niebo, że to nie on, lecz siły niewidzialne rozstrzygały. I cała wieś jak gdyby mu wierzyła: ludzie unikają naszego wejrzenia i rozchodzą się w poważnym nastroju.

Gdy kogut był jeszcze w ostatnich podrygach, wysłałem czym prędzej naszego kucharza do nauczyciela Ramaso z prośbą o niezwłoczne przybycie. Przychodzi, lecz niestety po czasie, po rozejściu się mieszkańców wsi. Zastaje tylko nas i koguta. Zresztą wie już o zajęściu. Zwracam się do niego z całą powagą:

— Czy nie da się wytłumaczyć mieszkańcom Ambinanitelo, że przyjechalśmy tu w najlepszych zamiarach? Chcemy przecież przyjaźni z nimi, powinni uważać nas za życzliwych gości, nikomu nie chcemy zakłócać spokoju, przeciwnie...

Ramaso w zamyśleniu wysuwa do przodu wargi, głośno wciągając nosem powietrze.

— Mogę im wytłumaczyć, ale nie wiadomo, czy przekonam ich — oświadcza.

— A autorytet nauczyciela?

Ramaso wskazuje ustami na koguta:

— To najwyższy autorytet. Oni wciąż jeszcze ślepo wierzą w wolę swych duchów.

— Kogut dostał zbyt wielką dawkę tanguinu — oto tajemnica ich duchów.

— Być może, być może. Ale oni inaczej sobie tłumaczą...

Jestem ciekawy, co w tej chwili myśli sam Ramaso o nas. Może także i on jest nam niechętny? Naukę pobierał w szkole regionalnej, następnie przeszedł do szkoły normalnej — rodzaju liceum — im. Le Myre de Vilers w Tananarywie, więc w warunkach malgaskich jest człowiekiem wykształconym, ale mimo to ma może jakieś tam powody nie ufania nam?

Pytam go:

— A wy sami, Ramaso, wierzyacie w naszą rzetelną chęć przyjaźni?

Jest zaskoczony takim pytaniem. Nieznacznym uśmiechem, jak gdyby bezradności, pojawia się na jego twarzy.

— Wierzę wam — odpowiada stłumionym głosem. I zaraz poprawia żywiej:

— Wierzę absolutnie.

— Więc uważacie, że powinniśmy tu zostać i pracować?

— Raczej nie — wyjawia szczerze.

— Nie? — powtarzam zdumiony.

— Raczej nie.

Nastaje kłopotliwe milczenie. Po chwili Ramaso przerywa je tłumacząc:

— Dlaczego narażać się na możliwości nieprzyjemnych wypadków?...

— Czy to podobna — wypala Kreczmer — by mogło grozić nam otrucie?

— Używacie zaraz najgorszych wyrazów — lekko naśmiewa się Ramaso — ale...

Nie, ani myślę ustępować. Wyrażam niezłomny zamiar pozostania na miejscu, dopóki mieszkańcy wsi nie przekonają się do nas. W tym celu proszę nauczyciela o pomoc. On chętnie przyrzeka i zaraz woła do nas kucharza Marova. Napomina go, żeby szczególne baczenie miał na wszelki pokarm, jaki będzie nam podawał. Odchodząc Ramaso przystaje na chwilę w pobliżu leżącego koguta i kiwa głową:

— W tym tkwi potęga ich duchów. Wypowiedziała się jasno przeciw wam. Jeżeli uda się przełamać ją... To już nie jest zwyczajne ciało koguta, lecz uświęcone.

Gdy zostajemy sami Bogdan niecierpliwie potrząsa rękoma:

— Wściec się można! Nastrój z jakiejś obłędnej operetki. Rozumiem stosunek prymitywnych tubylców do nas. Ale czemu taki Ramaso, człek wykształcony, chce nas stąd wypędzić, tego za nic w świecie nie mogę sobie wyobrazić.

— Ja też nie.

— Musi być w tym jakaś tajemnica.

Upiorny nasz stróż w postaci zdechłego koguta, leżącego tuż przed chatą, zaczyna działać nam na nerwy. Zastanawiamy się, w jakim kierunku podjąć obronę.

— A gdyby tak gałgan zmartwychwstał — rzucam myśl.

Bogdan patrzy na mnie pytająco, niezbyt rozumiejąc.

Po prostu wypchać koguta jak żywego. Symbol przeciwstawić symbolowi...

Towarzysz podchwytuje pomysł z zapalem i natychmiast przystępuje do wykonania go. Bogdan ma pasję urodzonego przyrodnika, dlatego przyjechał ze mną na Madagaskar. Bogdan ma przy tym cudotwórcze ręce i zna wszystkie tajniki preparowania skórek zwierzęcych. Nigdy nie przypuszczał, że uczciwą zdolność jego rąk użyjemy kiedyś do walki z sądem bożym. Dobywa z walizek narzędzi, bierze zdechłego koguta i po godzinie krzątania się przedstawia mi, przysięgłbym, najżywszego ptaka o dumnie wypiętej piersi i o wojowniczych błyskach w szklanych oczach. Wypchany kogut niby ożył.

Jest południe. Ptaka przytwierdzamy drutem na płocie, przed naszą chatą, obok głównej drogi, by go widzieli wszyscy mieszkańcy wsi. Widzą go. Przystają, dziwią się, rozważają.

Wiedzą, co zaszło. Wiedzą, że vazaha wypchał ptaka. Lecz logiczne przesłanki nie są dla nich tak ważne. Ważniejsze jest to, co pobudza bezpośrednio wyobraźnię, co można myśleć za pomocą zjawiska. A zjawisko jest tu jasne: był martwy ptak, uśmiercony wolą duchów, leżał jak zdechły, nędzny szmat; a teraz stoi ptak jak żywy, jak zbudzony, przeży ciało, wznosi głowę, świdruje oczyma. Może jeszcze zapieje? Może wyobraża czyjąś potęgę, nieznaną mieszkańcom doliny? Wieś już nie jest tak pewna siebie i wyroku duchów. Ujrzała obcy symbol.

W południe słońce pali piekielnie, drogi pustoszeją, wszystko chowa się w cień. Jedynie kogut pozostaje na słońcu i to mu bardzo szkodzi. Jego skóra gwałtownie się zesycha, coś w środku haniebnie się psuje. Kogut traci swą wyniosłość i staje się filuterny: z kokieterią wygina szyję. O drugiej godzinie po południu szyja nagle się wydłuża i wykręca w kabłąk: kogut wyraźnie błaznuje. Pierwsi popołudniowi przechodnie nie mogą powstrzymać się od wybuchów śmiechu.

O trzeciej godzinie kogut wścieka się: wylupia na tłum jedno pijane ślepie, a dziób otwiera na oścież w jakimś obłąkanym, szyderczym chichocie. To już nie kogut: to groteskowy trzpiot, to parszający kpiarz. Kpi ze wszystkich niewidzialnych potęg świata, uraga wszystkim idolom i świętościom, szydzi otwartym dziobem ze wszystkich wyroków i zatrutych ryżów, drwi z Madagaskaru, drwi z Europy.

Porywa ludzi wsi. Ambinanitelo pęka ze śmiechu, zrywa sobie boki. Śmieją się brązowi ludzie, śmieją się dwaj biali ludzie, a w tej zabójczej wesołości i szalonym zamęcie złe wyroki sądu bożego czezną w bezsilie, idą na nice. Pryska urok, który miał nas wygnąć ze wsi.

4.

OWADY W JARZMIE

W WALCE o byt silniejszy pożera słabszego, lecz słabszy nie jest konieczne zdany na zagładę: gazela nie jest bezbronna. Ma czujniejsze zmysły i chyższe nogi niż lew. Gazela może uciec. Przewidująca przyroda w swym świetnym mechanizmie dokładności i konsekwencji dała wszystkim bez wyjątku stworzeniom broń potężną i niezawodną: instynkt samozachowawczy.

A jednak przyroda raz popełniła dziwną omyłkę: zlała swe żelazne prawo, odebrała instynkt. I co jeszcze mniej zrozumiałe, a wręcz niesamowite — odbierając zdrowy instynkt, wpoili całej chmurze potulnych stworzeń wielką, nieprzepartą tęsknotę, z tych tęsknot, jakie stanowią treść roślinnego bytu i jakie są przywilejem człowieka, a podłożem najszczytniejszych jego dążeń: wpoili niektórym zwierzętom tragiczną tęsknotę do jasności. To kapryśny wybrzyk przyrody, to jakiegoś jej szaleństwo: żywiołowy pęd nocnych owadów do światła, niby wariacki poryw ku przewrotnej poezji,

...Kucharz twierdzi w kółko, że nic nie wie, potem zacina się w ponurym milczeniu



nie jest im wcale do życia potrzebny; jest upiorny i upajający. Jest niepoohamowany, obłędny, zgubny.

Oto białe, wielkie prześcieradło, przybite do ściany zewnątrz chaty, zaraz pierwszego wieczoru naszego pobytu w Ambinanitelo. Przed prześcieradłem ogromne, urzekające oko: to trzystoświecowy promień lampy benzynowej. A tam, naprzeciw, czarna otchłań puszczy, noc nieprzebita, rozwrzeszczana, zmysłowa, parna. My nic nie widzimy poza kręgiem światła, nas natomiast widzi cała dolina. Na naszą jaskrawość patrzą ryżowiska, uprawne gaje, błota, a przede wszystkim patrzy puszcza. Jej skraj i jej wnętrze, amfiteatralnie wspinające się na góry, są pod magicznym wpływem naszego blasku.

Więc przylatują. Cmy, prządki, miernikowce, chrząszcze, szarańczaki, sieciarki, prasiatnice, błonkówki, pluskwiki, muchówki — wszelka nocna gawiedź. Najpierw dziesiątki owadów, potem setki, potem tysiące, potem to już nawałnica, to wprost powódź.

Niektóre owady jak gdyby staczały jeszcze wewnętrzna walkę: niespokojnie krążą dokoła lampy chcąc wyrwać się z jej uroku. Daremnie; w końcu siadają na prześcieradle. Siedząc, drgają jeszcze skrzydłami. Daremnie; nie odlecają. Inne już z daleka spętały blask. Z ciemności przylatują prosto na białą płachtę, natychmiast siadają jak odurzone narkotykiem i już się wcale nie ruszą.

Prześcieradło na ścianie zamienia się w wymowną mapę zoologiczną. Jest to żywy przegląd nocnych owadów sąsiedniej puszczy. Przegląd okazały. Teraz dopiero rzuca się w oczy tropikalne bogactwo fauny Madagaskaru. W Europie nawet najlepsze przyłoty tego rodzaju nie dałyby i dziesiątej części połowu. Bogdan, zapalony i zapalczywy zoolog, krząta się jak w gorączce. Płoną mu policzki. Jest to jego wielki dzień — nikt tu przed nami nie zbierał; trzy czwarte zdobył to nowe gatunki, nieznane dotychczas światu. Bogdan to kapłan zarówno nauk przyrodniczych jak i krwiożerczego boga: Bogdan zabija. Lecz przy tym sam jest oczarowany jak jego własne ofiary. Czaruje go myśl, że gdzieś daleko, nad szarą Wisłę, zawiezie hojne dary tej nocy.

W pewnej chwili zjawia się przy lampie kilkadziesiąt tysięcy komarów. Wypełniają dosłownie powietrze, lecz wcale na nas nie napadają: to wyłącznie samce, ani jednej wśród nich kąśliwej samiczki. Jakiż to instynkt zbił tę jednopłciową chmurę i pchnął w przestworze? — Nie ma czasu na dociekanie. Uwagę naszą przykuwa nowe zjawisko.

Cma, królowa nocnych owadów...



Pajaki nie podlegające fototropii, są jak nikczemne opryski, korzystające ze słabości innych. W pobliżu lampy, w półmroku, zarzuciły swe sidła. Oto przylatująca do światła cma wpada w pajęczynę i nie może się wyplątać. Pająk nie atakuje jej wprost, lecz stara się szybko omotać ją w nowe nici. Cma, motyl mocny, dobywa rozpaczliwych sił i w ostatniej chwili się wyzwala.

Lecz teraz następuje rzecz osobliwa. Cma uratowana nie ucieka w przestrachu, nie objawia żadnego bojaźliwego wzruszenia. Podejmuje pośpiesznie poprzedni lot i siada na białej płachcie. Zadnym odruchem nie okazuje, że dopiero co wyrwała się z objęć wroga. Stała się niewrażliwa na groźbę śmierci. Urok światła jest silniejszy i ważniejszy niż śmierć.

Gdzieś w zakamarkach puszczy spełniło się jedno z cudactw przyrody, wyroiło się gniazdo termidów. Oto coraz więcej przylatuje ich do nas. Odróżniamy większe samiczki i mniejsze samce. I one przybyły do światła, lecz światło ich nie odurza, nie poskramia. Owady biegają na prześcieradle niespokojne, wciąż czegoś szukające, owładnięte jakby trwogą, ruchliwe, rozdrażnione, dreczone. Właśnie! Dreczone najbujniejszą władzą ich życia, rozrodczym instynktem miłości. Więc nawet światło ich nie usmierza. Na naszych oczach odpadają ich skrzydełka, małżeńskie szaty godowe, a one bezustannie szukają siebie, krążą, chwytają.



Ambinanitelo pęka ze śmiechu, zrywa sobie boki, śmieją się brązowi ludzie...

Słychać w pobliżu stłumione szeptu ludzkie i widać w ciemności odbłask licznych oczu. Światło nasze zważyło mieszkańców wsi. Z mroku wyłania się dziewczynka, może dziesięcioletnia, i zbliża się. Powoli, nieśmiało, z wahaniem, aż dochodzi do nas blisko. Z pięknych, wielkich, rozwartych szeroko oczu bije nieograniczone zdumienie. Dziewczynka drży ze wzruszenia. Uległa urokowi światła tak samo jak owady.

Inni idą jej śladem, podchodząc do samej werandy, o dwa kroki od wabiącej lampy. Mężczyźni, kobiety, nawet małe dzieci, podnoszone przez starszych, ażeby mogły dostrzec magię białego człowieka. Widać czasem, oprócz blasku światła w oczach, połysk ich zębów. Żywiłowy przyłot owadów wywołuje prawdziwe wrzenie w ich umysłach. Z napięciem pochłaniają oczyma każdy ruch Bogdana. Zgarnianiu owadów do szklanki z trucizną i ich zabijaniu towarzyszą podniecone uwagi i pomruki. Szeptu często wzbierają jak burzliwe fale, potem pada jakieś głośniejsze słowo — i cisza nagle, choć krótkotrwała, cisza jak gdyby porażenia zalega cały tłum.

Jesteśmy niby winni jakiegoś wykroczenia. Jak aktorzy wobec krytycznej widowni.

— Co to za słowo, które tak często powtarzają? — pytam Bogdana.

— Czy nie: Mpakafu?

— Słusznie, mpakafu. Co to może znaczyć?

— Chyba: czarownik? — domyśla się towarzysz z pewnym niepokojem.

— Znowu brak tu nauczyciela.

— Anioł-stróż Ramaso powinien z nami zamieszkać — żartuje Bogdan.

Wtem jakiś potężny owad zatacza w powietrzu koła z donośnym szumem, potem śląda. Modliszka. Tisma, jeden z najokazalszych gatunków tego rodzaju i jeden z najpotworniejszych drapieżników. Siadając modliszka wstrząsa całym prześcieradłem.

Tisma wszędzie i zawsze i bez wytchnienia rozdziera inne owady, niszczy je i pożera. Lecz teraz oczom trudno uwierzyć, to istna sielanka: modliszka siada obok ponętnej prządki, nieledwie jej dotyka — i nic. Zdarzenie najbardziej nieprawdopodobne tej nocy, najbardziej niepojęta i tajemnicza historia przyrody: tisma nie porywa bliskiej ofiary!

Modliszka wznosi ponad głowę swe długie przednie łapy najeżone morderczymi kolcami i po raz pierwszy w życiu nie kłamie tym ruchem: modliszka rzeczywiście się modli. Znieruchomiła, z wyciągniętą niby w zachwycie głową, wlepia pożądliwe oczy w blask i obezwładniona, bezsilna, olśniona, składa jakby przejmujący hołd potężnemu bóstwu — światłu.

Wtem — cóż to? Wstrzymujemy oddech i nadśluchujemy. W pobliskiej puszczy odezwowało się. Zaczyna ponuro wyć. Z ciemności przychodzą do nas donośne, przeciągłe, poważne głosy i wypełniają całą dolinę. Wypełniają jakby żałosną skargą, jakby prośbą o zmilowanie, o zaprzestanie męki. O spokój.

To leminy zawyły. Wyjął do naszego światła. Zbudził je na górskich stokach sąsiedniej puszczy nasz groźny blask.

Przerywając na chwilę nocne łowy idę do kuchni, gdzie kucharz Marovo zmywa naczynia po wieczery.

— Marovo! — zwracam się do niego. — Co znaczy słowo: mpakafu?

Nagle zgroza maluje się w jego oczach. Cały dretwieje, nie może ochłonąć ze strachu.

— No, powiedz! — nalegam przyjaźnie.

— Nie wiem, nic nie wiem! — bełkoce drżącym głosem.

— Marovo, nie bój się jak dziecko! Powiedz, co to znaczy!

Kucharz twierdzi w kółko, że nic nie wie, potem zaciąga się w ponurym milczeniu i już nic nie odpowiada na moje pytania.

Nazajutrz przynosi nam wczesnym rankiem smaczne śniadanie: jajecznicą, przywiezione z Tananarywy

sucharki, masło, dżem, pęk słodkich bananów, aromatyczną kawę. Po śniadaniu sprząta starannie naszą chatę, tworzącą jedną obszerną izbę, ściiera okruszyny z prostego umeblowania, stołu i kilku zbitych z grubsza krzeseł, następnie przebiera się w świeżą koszulę, staje przede mną i z uroczystą miną prosi o natychmiastowe zwolnienie go z pracy.

— To mi niespodzianka! — wołam. — I czemu tak nagle?

Marovo odpowiada, że go strasznie boli głowa, że jego żona w Maroantsetra jest w ciąży, że dzieci chorują, że w nocy przyśnił mu się teść i ostrzegł go, więc musi iść do teścia...

Oczywiście nie zgadzam się. Kreczmer pędzi co tchu do nauczyciela Ramaso. Obydwaj wkrótce przybywają. Nauczyciel życzliwie przemawia do sumienia kucharza i odnosi pożądany skutek. Marovo, wciąż nie rozjaśniając posępnej twarzy, zgadza się pozostać i pracować dalej. Ja dla otuchy podwyższam mu nieco wynagrodzenie.

Zatem chmura się rozwiewa, tylko z twarzy Marova długo nie schodzi uparta markotność, a nazajutrz posiłki już nie odznaczają się smacznym urozmaicheniem ani lotną wyobraźnią.

— Więc ostatecznie co znaczy mpakafu? — pytam nauczyciela.

— Nie przejmujcie się! — pociesza Ramaso. — to paskudne słowo. Znaczy: pożeracz serc.

— Brzmi niemal romantycznie!

— Romantycznie tylko w waszym europejskim znaczeniu. Tu bierze to się dosłownie. Pożeracz serc to zły biały czarownik, który ludziom rzeczywiście wrywa serca z ciała i je zjada.

5.

BENIOWSKI, NIEDOSZŁY KRÓL MADAGASKARU

POMIMO że mieszkańcy wsi boczą się na nas, przeprowadzamy bez przeszkód naszą pracę i wycieczki idzie zwyczajnym trybem. Łowimy owady, polujemy na ptaki, preparujemy ich skórki, a w zajęciach tych pomaga nam już kilku przedsiębiorczych chłopców wsi, niedbałych o przestrogi starszych.

Nie zaniedbuję także poszukiwań śladów po Maury-cym Beniowskim, lecz niestety — bez wyniku. W swej podręcznej bibliotece, którą zabrałem ze sobą, mam kilka o nim dzieł. Często przeglądam ich stronicę. Jest w tym jakaś szczególna rozkosz, gdy czytać o niezwykłych przypadkach niezwykłego zdobywcy, a potem, podniósłszy wzrok, ujrzeć o kilkaset metrów od siebie górę, z którą bohater tych dzieł związał swe losy, zakładając na jej szczycie Fort Augusta.

Na tle swej epoki — drugiej połowy XVIII wieku — Beniowski wypływa jako wyjątkowa postać dzięki przebijającej w jego działalności nucie humanitarnej, której brak było innym ówczesnym zdobywcą. Zazwyczaj mieli na oku jedynie własną kieszeń i chwałę, natomiast u Beniowskiego dodatnio zaznaczały się wpływy postępowych prądów wieku Oświecenia.

Był obywatelem węgierskim, lecz pochodzenia polskiego. Jego dziadek, rodowity Polak, wywędrował z Polski do Węgier i tu z rodziną pozostał. Maurycy, wnuk emigranta, urodzony w roku 1741, czuł się Polakiem i podkreślał to przy każdej sposobności. W młodym wieku wstąpił do armii austriackiej. Na wieść o grożącym Polsce niebezpieczeństwie pośpieszył nad Wisłę i jako pułkownik Konfederacji Barskiej walczył przeciw carskiej Rosji. Wzięty do niewoli i zesłany na Kamczatkę, zdołał tu wzniecić bunt więźniów. Na ich czele zdobył rosyjski s' tek i uciekł na pełne morze.

Po odysei dokoła południowo-wschodniej Azji Beniowski wylądował na Ile de France, francuskiej wyspie na Oceanie Indyjskim, noszącej dziś nazwę Mauritijs, oddalonej zaledwie o kilkaset kilometrów od wschodniego wybrzeża Madagaskaru. Tu — można powiedzieć — dobiegł końca swej przygody syberyjskiej i stanął u progu nowej przygody, jeszcze osobliwszej niż tamta: zainteresował się tajemniczym Madagaskarem i zapłonął chęcią zdobycia go.

Dalszy ciąg nastąpi

„CZARODZIEJ“ SWASTYKI I DOLARA

MARIAN PODKOWIŃSKI

29 SIERPNIA Schacht pisze długi list do Hitlera, w którym powiada:

„Drogi panie Hitler, czy mogę mieć nadzieję, że wybaczysz mi pan poufany ton tego listu, który nic innego nie zamierza, jak tylko w okresie ciężkich dla pana momentów wyrazić zapewnienie o niezmiennym dla pana sympatii... Jeśli pozostanie pan tym, kim pan jest, sukces pański będzie zapewniony. Wie pan dobrze, że nie zamierzam udzielać panu żadnych taktycznych porad skoro bez zastrzeżeń uznaję pańską wyższość w tych sprawach... Gdziekolwiek w przyszłości będę, może pan na mnie zawsze liczyć jak na oddanego pomocnika...”

Po wysłaniu tego wiernopoddanego pisma, Schacht kontaktuje się natychmiast ze swymi kołami. W obliczu nowych pociągnięć generała Schleichera, szarej eminencji Reichswehry i członka kamaryli prezydenta Hindenburga, który nienawidzi „przybłądy austriackiego”, Hitlera, nienawistną jankra pruskiego, Schacht straszy finansjere „czerwonym niebezpieczeństwem” idącym z Berlina.

Za namową Schachta grupa przemysłowców, wśród niej Schröder, Slomann, Cuno, Woermann, Voegler, Thyssen, Haniel, Krupp, Siemens, Robert Bosch, von Oppen i von Keudell, wysyła (nieznany aż do rozprawy norymberskiej) wspólny list do prezydenta Hindenburga, w którym domaga się natychmiastowego oddania władzy w Niemczech Hitlerowi i jego partii. List ten pierwszy podpisuje Schacht.

Papen ustępując, na skutek klęski wyborczej do Reichstagu (6 listopada 1932 roku), miejsca Schleicherowi, dopiero przed swoją dymisją wręcza Hindenburgowi list nadreńskich magnatów i równocześnie przyjmuje ofertę kolońskiego bankiera Schrödera spotkania się z Hitlerem w jego prywatnym mieszkaniu. Schacht ocenia szybko sytuację, wie, do czego zdolny jest chytry lis Papen i już 12 listopada pisze nowy list do Hitlera, adresowany na „Brunatny dom” w Monachium.

„Nie ulega dla mnie najmniejszej wątpliwości — pisze Schacht, dając w nim wyraz swego podziwu dla postawy Hitlera w „dniach klęski” — iż rozwój sytuacji

może skończyć się jedynie tym, że w końcu zostanie pan kanclerzem. Zebrane przeze mnie podpisy grupy przemysłowców przecież nie pójdą na marne...”

VIII.

„Sytuacja finansowa poprawiła się nieco” — pisze Goebbels 5 stycznia roku 1933 w swoim pamiętniku, który po wojnie odnaleziony został przypadkowo na gruzach kancelarii Rzeszy. Dzień przedtem nastąpiła zasadnicza rozmowa między Hitlerem i Papenem w domu bankiera Schroedera w Kolonii. Papen w obliczu rozwoju sytuacji w Berlinie poparł koncepcję przemysłowców i obiecał przeforsować u Hindenburga nominację Hitlera na kanclerza, dla siebie rezerwując stanowisko jego zastępcy i komisarza Prus. Schachtowi obiecano fotel prezydenta Reichsbanku i „może jeszcze coś więcej...”

Od razu znalazły się pieniądze na cele partyjne w wysokości ponad dwa miliony marek, które były NSDAP potrzebne na wybory w prowincji Lippe-Deimold. Chodziło o to, aby wykazać, że spadek wpływów Hitlera był zjawiskiem przejściowym, że NSDAP nadal „kroczy od zwycięstwa do zwycięstwa”, jak powiadały plakaty Goebbelsa.

Nowy zastrzyk finansowy pozwolił Goebbelsowi na rozwinięcie nowej kampanii propagandowej. Mały kraik Lippe-Deimold obklejono po prostu swastykami i portretami Hitlera. Gdzie nie pomagało przekupstwo, działał terror SA. Rzucono do kampanii wyborczej „najlepszych” demagogów oraz wszystkich Reichsleiterów z Himmlerem i Hessem na czele. Żadna inna partia nie dochodzi wprost do głosu. Dwa miliony marek wydano w 10 dni! Była to jeszcze jedna lokata przemysłu w „przedsiębiorstwo” Hitlera. 15 stycznia 1933 roku Hitler odniósł poważne zwycięstwo w wyborach do Landtagu w Lippe-Deimold, okręgu liczącego niewiele ponad 150 tysięcy mieszkańców.

Stary Hindenburg w dwa tygodnie później oddał urząd kanclerza Hitlerowi. Historia miała wkrótce wykazać, że nie Papen, ale Schacht był zwycięzcą. Droga do jego wielkiej kariery stała wreszcie otworem.

IX.

30 stycznia 1933 roku w sali prezydenckiego pałacu na Wilhelmstrasse w Berlinie zebrał się rząd Hitlera celem złożenia przysięgi Hindenburgowi. Hitler jest w cutawayu i sztucznych spodniach. Skarży się szeptem Goeringowi, na „skrepowanie w ruchach”. Goering natomiast jest w wyborowym humorze i jeszcze przed przysięgą wydaje rozkazy „konserwatywnym” („hugenberczykom”) ministrom Hitlera. Do ministra finansów, hrabiego Schwerin von Krosigk, powiada: „Pan będzie dbał o to, aby nasz budżet został zrównoważony, wszystkie inne, nadzwyczajne wydatki pana nie obchodzą. To załatwi już nasz doktor Schacht...”

Pierwszą czynnością Schachta w charakterze kasjera NSDAP było przygotowanie funduszu wyborczego wobec rozpisanych przez Hitlera na dzień 5 marca 1933 — trzecich w ostatnim półroczu — wyborów do Reichstagu. „Rząd narodowej koncentracji” Hitlera wciąż jeszcze nie miał parlamentarnej większości. Wprawdzie opozycja była brutalnie tępią, ale skład Reichstagu, w którym komuniści mieli jeszcze 100 mandatów, niepokoił Hitlera i jego protektorów z Zagłębia Ruhry.

W pierwszych dniach lutego — jak zeznali w Norymberdze minister

gospodarki Trzeciej Rzeszy, Walter Funk, i wszechwładny ongi prezes koncernu IG Farben, von Schnitzler — zebrało się ponownie w mieszkaniu Goeringa grono przemysłowców. Przemawiali Goering, Hitler i Schacht. Goering pocieszał zebranych milionerów, że partia domaga się od nich po raz ostatni finansowej pomocy, gdyż nigdy już więcej żadnych wyborów do Reichstagu nie będzie... Następnie zabrał głos Schacht domagając się zadeklarowania sum na miejscu, z uwagi na krótki termin kampanii wyborczej. Wedle tajnego protokołu tego zebrania, który znaleziono po wojnie w archiwach rodziny Kruppa w Essen, Schacht zebrał tego wieczoru 3,2 miliona marek!

Równocześnie z robotą finansową Schachta, Goering i Himmler rozpoczynają zakrojoną na szeroką skalę akcję krwawego terroru i „nocy długich noży” w całej Rzeszy. SA i Stahlhelm obejmują rolę „policji pomocniczej” dla „utrzymania porządku” w czasie kampanii wyborczej. SA od lat czekało na taką okazję. Mordy kapturowe, samosady, lynche na przeciwnikach, masowe egzekucje na komunistach, „prywatne” obozy koncentracyjne poszczególnych „gauleiterów”, grabieże i pożary domów KPD tworzą parną od krwi atmosferę wyborczą owej wiosny 1933 r., w jakiej toczyła się ostatnia faza walki o władzę w Rzeszy.

Mimo tych trudnych warunków, komuniści bronią się zaciekłe. Walki pomiędzy SA i komunistami przynoszą codziennie dziesiątki zabitych i rannych. Np. w mieście Eisleben komuniści staczają z SA i policją dwudniową, regularną bitwę. Podziemna organizacja KPD, prowadzona przez bohatera Johny Scheera, członka KC KPD, raz po raz zadaje ciężkie straty faszystom.

W tej sytuacji Goering podpala 27 lutego 1933 Reichstag. Goebbels z polecenia Hitlera rzuca hasło, że „pożar był hasłem do powstania komunistów”. Jeszcze tej samej nocy szef Gestapo, Rudolf Diels, aresztuje 4 tysiące funkcjonariuszy KPD. Zajęty zostaje w Berlinie „Dom Karola Liebknechta”. 3 marca aresztowano Ernsta Thaelmanna.

Ale nawet i w takich warunkach przeprowadzone wybory nie kończą się bynajmniej „ostatecznym” zwycięstwem NSDAP, jak zapewniali przemysłowców niedawno Goering. NSDAP uzyskuje wprawdzie 288 mandatów, ale wciąż brak jej 50 do absolutnej większości. Komuniści otrzymali 81 mandatów, co było wielkim zwycięstwem klasy robotniczej wobec zwierzającego terroru SA i „pożarowej” prowokacji Goeringa.

Pomoc Hugenbergów i Schachta sprawia, że większość Hitlera w parlamencie zostaje zapewniona przez 52 mandaty nacjonalistów z „Czarno-biało-czerwonego frontu”. Minister spraw wewnętrznych, Frick, wydaje rozkaz aresztowania 81 posłów komunistycznych, a Goering wysyła ich „na bardziej pożyteczną pracę” — jak powiada — do obozów koncentracyjnych. Na pierwszym posiedzeniu Reichstagu, w operze Krolla, Goering ogłasza generalną amnestię za wszystkie przestępstwa „z patriotycznych pobudek”, a większość rządowa przeprowadza uchwalenie dyktatorskich pełnomocnictw dla Hitlera. Wszystkie miejsca frakcji parlamentarnej KPD i część socjaldemokratycznej świecą pustkami. Hitler staje się jedynowładcą Trzeciej Rzeszy.

17 marca 1933 roku Schacht, który w tydzień później złożył operze Krolla z wyraźną satysfakcją przypatrywał się grzebaniu weimarskiej republiki, wraca wreszcie do Reichsbanku.

X.

W rozmowach Hitlera w kwaterze polowej „Wolfsschanze” na froncie wschodnim stenograf OKW, Henry Picker, notuje pod datą 22 kwietnia 1932 roku sprawę nominacji Schachta na prezydenta Reichsbanku. Wspominając podczas obiadu w ścisłym gronie generałów „dawne, dobre czasy”, Hitler mówił o zbrojeniach Rzeszy w początkach jego władzy. Ówczesny prezydent Reichsbanku, dr Luther, ten sam, który wprowadził Rentenmarkę i od lat rywalizował z Schachtem, wezwany został jeszcze w początkach 1933 roku do Hitlera. Dyktator domagał się od niego uruchomienia kredytów na zbrojenia. Luther początkowo odmówił, motywując swą decyzję 2,7-miliardowym deficytem budżetowym. Ale Hitler nalegał dalej. W końcu Luther oświadczył: „No dobrze, to dam panu na ten cel 100 milionów marek...”

— Ile? — powtórzył z niedowierzaniem w głosie Hitler — 100 milionów? Czyżbym się przesłyszał, Herr Luther? Chyba miał pan na myśli 100 miliardów?

— Nie, tylko 100 milionów, mein Führer — potwierdził Luther.

„Poprosiłem dr Luthera — opowiadał dalej swoim generałom Hitler — aby podał się do dymisji. Nie mogłem nic innego zrobić, gdyż Reichsbank był wtedy jeszcze międzynarodową instytucją bankową, finansowo niezależną od Rządu Rzeszy”.

Idąc za chytrą radą Meissnera (swego podsekretarza stanu) Hitler zaproponował Lutherowi stanowisko ambasadora Rzeszy w Waszyngtonie, jeśli dobrowolnie zrezygnuje ze swego stanowiska w banku. „Tam nic nam nie zepsuje, a wiele pomoże” — wyraził się Hitler.

„W ten sposób — ciągnął dalej Hitler — pozbyłem się nudziarza, a pozyskałem obrotowego człowieka o międzynarodowej reputacji bankowej. Tą osobistością był dr Schacht”.

CIĄG DALSZY NASTĄPI



TEŚKNIĄ DO ANGIELSKIEGO LI SYN-MANA

Senator McCarthy, jak zwykle, nie przebierał w słowach. Mowa Churchilla i jej echa w brytyjskiej Izbie Gmin wywołały pianą furii na ustach amerykańskiego senatora. „Jeśli Brytyjczycy — wrzeszczał mr. McCarthy — chcą nas zaszantażować, byśmy przyjęli komunistyczne warunki rozejmu w Korei, grożąc, że w przeciwnym razie wycofają swe wojska, to powiadam: „Dobrze, wycofajcie się i niech was diabli wezmą!“. A potem zaczniemy zatapiać ich przeklęte statki...”

Senator Bill Knowland nie dał się zakasować: „Powiadają nam, że jeśli nie pójdziemy za ich radą, zostawią nas samych sobie. Niech i tak będzie!”

Dziennik angielski „Manchester Guardian” zareagował na amerykańskie obelgi ironiczną karykaturą:



Przed barakami w Panmundżon, gdzie toczą się rozmowy rozejmowe, dwaj amerykańscy żandarmi rozmawiają o Churchill: — Co to za typ kręci się tu po okolicy? — Ten? Ach, to taka angielska odmiana Li Syn-mana.

O takim właśnie premierze brytyjskim marzy McCarthy i jego poplecznicy.

Nagroda w wysokości 32.000 dolarów ofiarowana została przez nieznanego „mecenasa sztuki”, prawdopodobnie Amerykanina. Konkurs otwarty na rzeźbę pt. „Wieżień polityczny” rozpisano we wszystkich krajach Zachodu. Do jury wchodziło ośmiu najsłynniejszych znawców, m. in. dyrektorzy wielkich muzeów Francji, Anglii, Ameryki, Norwegii, etc. Nadesłano ogółem 3.500 prac. Spośród nich do ostatecznej selekcji wybrano 274 projekty. Po długich debatach uwaga jury skupiła się na trzech rzeźbach: Eshericka (USA), Caldera (USA) i Butlera (Anglia). Pierwsza nagroda przypadła w udziale Butlerowi.

Gdy nagrodzony projekt — rusztowanie pogiętych drutów, u którego stóp stoją trzy nieudolnie wy-ciosane figury, zbliżone nieco do ludzkich kształ-

tów — wystawiony został w londyńskiej „Tate Gallery” — rozległy się głośne protesty, drwiny i kpi-ny. Znany rzeźbiarz angielski Jacob Epstein określił dosadnie nagrodzoną rzeźbę: „Bzdura. Abstrakcyjna okropność. Puste i bezsensowne. Tego nie można traktować poważnie”. W kilka dni później pewien młody rzeźbiarz stracił nagrodzone „dzieło” z postumentu i potłukł na kawałki.

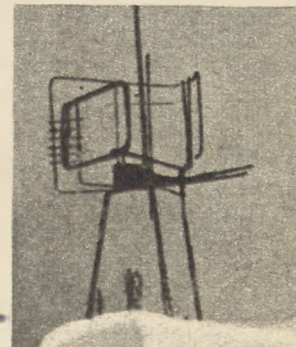
Ale prawdziwa burza rozpetala się dopiero wtedy, gdy nie zrażony tym wszystkim autor oświadczył, iż pragnie, by jego dzieło, powiększone do rozmiarów sporej wieży kościelnej, stanęło na skalistych wybrzeżach Anglii w okolicach Duwru. 42 członków parlamentu podpisało natychmiast wniosek „w sprawie ochrony skał Duwru”, w

którym wyrazili opinię, że „parlament z oburzeniem odnosi się do projektu zepszczenia wybrzeża angielskiego”.

Cała historia byłaby bardzo zabawna, gdyby tematem rzeźby nie był wieźień polityczny. Czyżby istotnie ofiary Oświęcimia, Dachau i amerykańskich cel śmierci musiały być igraszką chorej wyobraźni pseudo-artystów i pseudo-krytyków?



„Rzeźba” Eshericka



I nagroda



„Rzeźba” Caldera

N N 4046-760-F-4-1997

Te tajemnicze cyferki stanowią ważny dowód w sprawie Ethel i Juliusza Rosenbergow, skazanych na śmierć przez sąd amerykański za rzekome „szpiegostwo atomowe”. Obrońcy Rosenbergow ujawniają jeden po drugim elementy prowokacji politycznej w tym procesie. Ostatnio podważyli oni jeszcze jeden z „dowodów rzeczowych”, na których opierał się sąd, wydając wyrok skazujący.

Podczas procesu prokurator przedstawił trybuna-

łowi fotografię tajemniczego stołu, który Rosenbergowie mieli rzekomo otrzymać od „rządu ościennego mocarstwa”, w celu przechowania materiałów szpiegowskich. Według twierdzenia FBI stół posiadał szereg pomyślowych skrytek na pomieszczenie mikrofilmów. Rosenbergowie twierdzili, iż stół nabyli w domu towarowym firmy Macy's w Nowym Jorku i że nie było w nim żadnych skrytek. Obrońcy zażądali dostarczenia stołu na salę sądo-

wą, ale prokurator odmówił i ograniczył się do przedstawienia niewyraźnych zdjęć. Stronniczy sąd zaakceptował te zdjęcia jako dowód rzeczowy.

Tymczasem obrońcom udało się obecnie dotrzeć do owego tajemniczego stołu i odkryli na nim znaki NN 4046-760-F-4-1997. Gdy znaki te pokazano dyrekcji firmy Macy's, wyjaśniła ona natychmiast ich pochodzenie. Znak „4046” jest numerem modelu stołu wytwarzanego przez zakłady Brand

Manufacturing Co. „760” — to znak oddziału fabryki w Hagerstown, wytwarzającego meble domowe. „F-4” to znak firmy Macy's dla towarów sprzedawanych w roku 1944. A „1997” to po prostu cena sprzedaży: 19 dolarów 97 centów. Dane te pokrywają się całkowicie z zeznaniami niewinnie skazanych. Zadają natomiast kłam twierdzeniom prokuratora.

Mimo to Sąd Najwyższy USA odmówił rewizji procesu...

MR. DULLES ZMIENIA TERMIN

SKOŃCZYŁO się właśnie niedawno posiedzenie tak zwanej Rady Atlantycznej. Odbывало się ono w cieniu trzech niezwykle ważnych okoliczności.

Po pierwsze — tematem dnia była i pozostaje wielka ofensywa pokojowa Związku Radzieckiego. Spokojne, rzeczowe argumenty polityki radzieckiej, sformułowane w szeregu znanych naszym Czytelnikom dokumentów polityczno-publicystycznych, uczyniły niewątpliwą wyłom psychologiczny nawet w tych kołach na Zachodzie, które do niedawna pozostawały głuche na wszelkie propozycje pokojowe.

Po drugie — minął dzień 20 kwietnia, kiedy upłynęło „pierwsze ultimatum Dullesa”. Jak wiadomo, w styczniu, wnet po dojściu do władzy, mr. Dulles oznajmił, że jeśli do tego terminu państwa Europy Zachodniej nie ratyfikują układów bońskich — amerykańska „pomoc” zostanie wstrzymana lub poważnie ograniczona. Dzień 20 kwietnia minął, ani jedno z państw zachodnich nie ratyfikowało układów. Nawet Niemcy zachodnie, formalnie rzecz biorąc, jeszcze nie ratyfikowały tych układów.

Po trzecie — w wyniku konsekwentnej, nie zrażającej się niczym postawy Koreańskiej Republiki Ludowo-Demokratycznej i Chin Ludowych, popartej przez Związek Radziecki i wszystkie państwa demokracji ludowej, na Korei doszło do wymiany chorych i rannych jeńców wojennych, wznowione zostały obrady w Panmundżon, na horyzoncie zaświtała możliwość zawarcia prawdziwego rozejmu.

Oczywiście wszystko to razem stworzyło atmosferę odprężenia międzynarodowego. Na łeb na szyję poleciały akcje na giełdzie nowojorskiej.

Amerykanie otrzymali pogładową lekcję, która ma prosty i jasny sens polityczny: świat nie chce wojny, świat raduje się na widok odprężenia.

Jak zareagował Dulles wobec tak wyraźnej niepopularności amerykańskiego hasła „obrony Europy”, tzn. remilitaryzacji Niemiec zachodnich i budowy armii „europejskiej”, w której główną rolę przeznacza się armii neohitlerowskiej?

Jak doniosło radio paryskie, „Dulles oznajmił, że nie będzie mógł żądać od

parlamentu amerykańskiego wielkich kredytów na pakt atlantyczny, jeżeli do dnia 30 czerwca nie nastąpi znaczny postęp w zakresie ratyfikacji układów o armii europejskiej”.

Czyli — nowe ultimatum Dullesa.

To nowe ultimatum Dullesa nie jest jednak niczym innym, jak tylko prologiem terminu ultimatum poprzedniego. Nacisk z terminem 20 kwietnia zakończył się fiaskiem, może więc uda się przeforsować wojenne paki bońskie w terminie następnym, do dnia 30 czerwca — taki jest sens tego nowego posunięcia polityki amerykańskiej w stosunku do zachodnio-europejskich sojuszników Stanów Zjednoczonych.

Jak widać — daleko w Europie Zachodniej do tego stanu posłuszeństwa wobec Stanów Zjednoczonych, jakiego życzyłby sobie pan Dulles czy jego mocodawcy.

Dlatego jesteśmy sceptykami co do nowego ultimatum pana Dullesa, pomimo triumfalnego tonu komunikatów Rady Atlantycznej, pomimo dalszego, jeszcze mocniejszego nacisku dyploma-

cji amerykańskiej, rozporządzającej silnym „argumentem” dolarowym.

Tym bardziej, że ofensywa sił pokoju trwa i trwać będzie dalej, gdyż siły te nie dadzą się zepchnąć z drogi walki o pokój, będą nadal wykorzystywały każdą okazję, aby osiągnąć złagodzenie napięcia międzynarodowego.

Tym bardziej, że trudności, jakie mają Amerykanie ze swoimi „sojuznikami” zachodnio - niemieckimi, nie będą się zmniejszały, tylko rosły. Jaskrawym dowodem i zapowiedzią tego jest ostatnie zwycięstwo Komunistycznej Partii Francji w wyborach samorządowych, co musi jeszcze bardziej utrudnić pozycję władców Francji. A i tak już nie łatwo im — jak wiadomo — stawać przed francuską opinią publiczną ze swoim dorobkiem.

Wszystko to razem sprawia, że pogroźki amerykańskie pod adresem atlantycznych „sojuzników” stają się coraz bardziej bezpłodne. I choć p. Dulles bardzo by chciał dopiąć swego — przecież logika rzeczywistości, logika rozwoju dziejowego chce inaczej.

WOJCIECH BYLINA

TEATR ŚWIAT

Dyrekcja: JAN SZELAĞ
Bokoracja i kostiumy: HA-GA
Tekst: STEFAN NOWINA

Ma zaszczyt przedstawić osnutą na prawdziwym zdarzeniu tragedię w 4 aktach pt.

NIEKOMPLETNY RAPORT

Rzecz dzieje się w Wiedniu

Osoby: Mr. Cohn i Mr. Shine — wysłannicy do specjalnych poruczeń z ramienia specjalisty od badania „działalności anty-amerykańskiej” — senatora McCarthy
Mr. Brown — urzędnik amerykański w Austrii.

AKT I

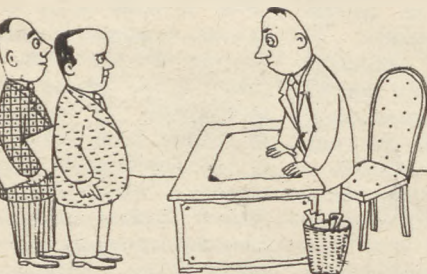
Rozgrywa się w biurze Mr. Brown'a. Za biurkiem siedzi Brown, do pokoju wchodzi Shine i Cohn.

SHINE: Jak też się panu pracuje w amerykańskiej administracji w Austrii, mój drogi Mr. Brown?

BROWN: A panowie właściwie w jakiej sprawie?

COHN: Jesteśmy delegatami senatora McCarthy.

BROWN: Ma-ma-mac Carthy? Ależ panowie, ja zupełnie nie rozumiem, czego może chcieć ode mnie senator McCarthy, którego, rzecz jasna, bardzo cenię...



SHINE: Spokojnie, tylko spokojnie, mister Brown. My tutaj tylko na małą, przyjacielską pogawędkę. Niech pan nam powie, drogi panie Brown, co pan zazwyczaj robi po pracy?

BROWN: Po — po pracy? Po pracy? No cóż, to, co każdy człowiek — staram się jakoś odpocząć, rozzerwać...

COHN: Czy pan jest żonaty, mister Brown?

BROWN: Nie, jeszcze nie, a bo co?

SHINE: Uspokój się, Cohn. A jakie rozrywki lubi pan najbardziej, mister Brown?

BROWN: Najbardziej chyba lubię książki!

SHINE: Książki? To bardzo ciekawe, mister Brown, bardzo ciekawe! Jakże też książki pana interesują?

BROWN: Pożyczam sobie zazwyczaj z naszego ośrodka informacyjnego, tu zaraz za rogiem.

SHINE: Dziękuję, to nam wystarczy, mister Brown!

AKT II

Rozgrywa się na ulicy Wiednia

SHINE: To niebezpieczny typ, ten cały Brown!

COHN: Dlaczego?

SHINE: Pomyśl tylko, on czyta książki!

COHN: No, to co z tego?

SHINE: Jak to, co z tego? Czytanie książek, to pierwszy stopień do komunizmu! Jak niesłychanie łatwo wpaść jest w nałóg czytania książek komunistycznych!

COHN: Zmiluj się, przecież ten człowiek pożyczka książki z amerykańskiego ośrodka informacyjnego!

SHINE: Trzeba tam natychmiast jechać!

COHN: Myślisz, że?...

SHINE: Ja nie myślę, ja podejrzewam!

Moim zadaniem jest podejrzewać!

AKT III

W bibliotece Amerykańskiego Ośrodka Informacyjnego w Wiedniu.

COHN: O Boże, ile książek!

SHINE: Dalej, nie mamy czasu. Sprawdzamy. Weź pierwszą z brzegu. Kto to napisał?

COHN: Jakiś Goethe. I co chcesz z tym robić?



SHINE: Musimy sprawdzić, czy nie kryją się tu jakieś miazmaty komunistyczne.

COHN: Bój się Boga! To nam zajmie chyba z rok!

SHINE: Nie mamy innego wyjścia. Chyba że, czekaj... Goethe, Goethe, czy to nie jest ten facet ze stanu Alabama, który w zeszłym roku dostał 10 lat za komunizm? Nie wiedziałem, że on pisze książki!

COHN: O, to u nich jest nagminne. Słuchaj, mam doskonały pomysł!

SHINE: Jaki?

COHN: Po co mamy się męczyć — czy nie lepiej udać się do ekspertów?

SHINE: Nic nie rozumiem.

COHN: Któż może się lepiej znać na tym, jaka książka jest komunistyczna, a jaka nie, jeśli nie Rosjanie?! Pójdź do radzieckiej biblioteki, wypisz nazwiska autorów i będziemy mieli gotowy spis!

SHINE: Patrzcie, jaki spryciarz! No, to już cię tu nie ma!

(za pół godziny)

COHN wpada jak bomba: Mam! Ukradłem cały katalog.

SHINE: Doskonale! No to sprawdzamy. Zaczniemy od tego Goethego.

COHN: Goethe, to pod Gie. Jest, oczywiście, że jest!

SHINE: Widzisz, jaką ja mam pamięć! Komunista!

COHN: To rzecz udowodniona.

SHINE: No, a zobaczmy teraz na przykład tę książkę. Ojciec Goriot. Autor: Balzak.

COHN: Chwileczka, już się robi. Zaraz sprawdzimy przy pomocy wyrobowanej metody Cohna, jakie przekonania polityczne miał ten pan. Be, be — Balzak! O, ho, ho! Napisał masę książek. To musi być jakiś wybitny komunista.

SHINE: Zanotujemy: „Balzak: Ogromnie podważa lojalność obywateli amerykańskich”. Szybko dalej: Szekspir!

COHN: Jak?

SHINE: Pisze się Shakespeare, Es-ha-aka-es-pe-e-a-er-e.

COHN: Jest, oczywiście, że jest! Teraz już pamiętam! To on przecież chciał dokonać zamachu na Eisenhowera!

SHINE: Durniu! Ten człowiek umarł co najmniej 50 lat temu!

COHN: To widocznie krewny. Szkoda czasu, jedziemy dalej.

AKT IV

W samolocie, w drodze powrotnej do USA.

COHN: Goddam! A tośmy się napracowali! Kto by pomyślał, że same biblioteki zajmą nam tyle czasu!

SHINE: No trudno, zajęły, ale za to jaki plon! Ale teraz, bracie, pisz raport dla senatora, bo za pięć godzin jesteśmy w Waszyngtonie i nie chciałbym być w naszej skórze, jeśli raport nie będzie gotów.

COHN: Tak, temu raportowi jednak czegoś brakuje. Bo właściwie mamy za mało podejrzanych.

SHINE: Mhm.

COHN: Bo co to jest — ten jeden Brown, no i kierownik biblioteki. Senator powie, i słusznie, że za te pieniądze, które na nas wydał, mógłby się spodziewać więcej wykrytych komunistów.

SHINE: Ha ha ha!

COHN: Z czego się śmiesz? Tu nie ma nic śmiesznego! Gdzie my dostaniemy drugą taką posadę?

SHINE: O Boże, ha ha he he!

COHN: A, widzę, że czytasz. Nie przeszkadza. Zaraz, a co ty właściwie czytasz? Twain Mark. W tej chwileczce sprawdzimy: Twain, Twain — Tołstoj, Turgieniew, o jest i Twain. Stary, wypróbowany agent komunistyczny. Taak, w ten sposób mamy już trzech podejrzanych.

SHINE: Kretynie! Twain umarł już bardzo dawno!

COHN: Ale ja mam na myśli Mr. Shine'a.

SHINE: Mnie?

COHN: Tak, ciebie, ty namiętny czytelniku komunistycznej bibuli!

KURTYNA

NOWE KSIĄZKI

JÓZEF HEN — *Druga linia* (MON, s. 227, zł 2.40) — interesująca powieść z okresu organizowania w ZSRR polskich sił zbrojnych, które następnie u boku Armii Radzieckiej wyzwalały Polskę. Autor ciekawie naszkicował postacie żołnierzy i oficerów, którzy odnajdują w Ludowym Wojsku drogę nowego życia, stają się ofiarami wojowników o ludową ojczyznę.

J. N. KŁOSOWSKI — *Czarna wiosna* (Czytelnik, s. 221, zł 8.40) — powieść autora współczesnego, opisująca tragiczny los dziecka proletariackiego w Polsce przedwójniowej. Akcja powieści, tocząca się początkowo w niewielkim prowincjonalnym miasteczku, przedstawia dzieciństwo i lata młodzieńcze utalentowanego chłopca, dla którego aresztowanie ojca za działalność rewolucyjną i śmierć matki są bezlitosną lekcją prawdy o świecie kapitalistycznym. W Warszawie, dokąd udaje się w poszukiwaniu pracy, nawiązuje on kontakty z KZM, który wskaże mu przyzwoity i źródła wyższego oraz drogę walki o lepszy ustrój.

STANISŁAW LEM — *Astronaucci* (Czytelnik, s. 382, zł 13.—) — wznowienie pasjonującej powieści fantastyczno-naukowej o wyprawie na Wenus w roku 2003. Na fantastycznej kanwie autor kreśli bohaterские sylwetki ludzi epoki komunizmu, którzy wyruszą na podbój przestrzeni międzyplanetarnych. Książka zapoznaje czytelnika w interesujący sposób z różnymi problemami fizyki, astronomii i matematyki, nasuwa ważne problemy filozoficzne, kreśli perspektywy rozwoju ludzkości i uczy wiary w potęgę człowieka.

GALDOS BENITO PEREZ — *Donia Perfecta* — Pierwsza tłumaczona na język polski powieść wybitnego realisty hiszpańskiego (1843—1920), z wielkiego cyklu powieściowego obrazującego życie w Hiszpanii w drugiej połowie XIX wieku. Powieść, osnuta na tle stosunków panujących na hiszpańskiej prowincji, demaskuje obłudę katolickiego kleru oraz otaczającego kler środowiska zapalczywych głupeców i dewotek.

FRANK HARDY — *Potęga bez chwały* — Ambitna, demaskatorska powieść współczesnego postępowego pisarza australijskiego — członka Australijskiej Partii Komunistycznej i wybitnego działacza obozu pokoju. Treścią książki są dzieje życia młodego człowieka, który przy pomocy bandy wielkomięskich opryszków i gangsterów zakłada w Melbourne jaskinię gry hazardowej. Po kilkunastu latach staje się on potentatem finansowym mającym przemożny wpływ na uchwały parlamentu. Powieść Hardy'ego jest znakomitą realistycznym przykładem rozkładu społeczeństwa kapitalistycznego.

WŁODZIMIERZ BORUŃSKI DO SZEREGOWCA SMITHA, KTÓREGO WYSYŁAJĄ NA FRONT KOREAŃSKI

Jeśli ci każą żyć,
By innym odbierać życie
Lub jeśli ci każą się bić,
W imię gieldziarskich zwycięstw,
Jeśli dla brudnej gry
Dadzą ci w krwawą drogę
Granaty, bomby i pchły,
By śać zarazę i ogień,
Jeśli zabiorą ci myśl
I życia wszelką ochotę
Po to, byś jeszcze dziś
Odwalili za nich robotę,
Jeśli wypłacą ci
Nagrodę za męstwo na frontach,
Bo ze strumieni krwi
Pęcznieją bankierskie konta,
Jeśli armatni huk
Zagłuszy ci ich szaleństwo,
Ryś dziś jeszcze zabić mógł
W kotłyszce drzące maleństwo —
To wiedz, przyjacielu Jack:
Ta sama szajka zbójcka
Jutro wystawi czek
Na tży i śmierć twego dziecka.

Drodzy Czytelnicy!

Od świetnego baletmistrza, kierownika zespołu baletowego Opery Warszawskiej, Leona Wójcikowskiego, otrzymaliśmy następujące wyjaśnienie, dotyczące repertuaru baletowego.

„W artykule pt. „Dama Pikowa na 35 wyciągach”, jaki ukazał się w nr. 18 „Świata”, poruszono m. in. sprawę repertuaru baletowego w Operze Warszawskiej. Jako współodpowiedzialny, z racji zajmowanego stanowiska baletmistrza i kierownika zespołu baletowego Opery Warszawskiej, pozwalam sobie na wyjaśnienie kilku szczegółów, które, moim zdaniem, w niewłaściwy sposób zostały naświetlone przez autora artykułu. „Zgodnie z zatwierdzonym planem repertuarowym na scenie warszawskiej wystawiony zostanie jako pierwsze w sezonie przedstawienie baletowe „Wieczór”. na program którego złożą się „Coppelia” w dwóch aktach Delibes'a, „Dyl Sowizdrzał” R. Straussa i „Suita hiszpańska” Granadosa. Wszystkie te trzy balety wystawione były w Operze im. St. Moniuszki w Poznaniu, gdzie cieszyły się dużym powodzeniem i osiągnęły ilość przedstawień tak dużą, jak żadne z przedstawień baletowych, wystawianych na scenie poznańskiej po wojnie.

„Autor artykułu poddaje w wątpliwość oszczędność w wystawieniu tych baletów na scenie „ROMY”. Oszczędność jednak jest olbrzymią, gdy weźmiemy pod uwagę koszt dekoracji oraz kostiumów, nie mówiąc o fakcie, że w ten sposób publiczność warszawska będzie mogła oglądać przedstawienie baletowe już w czerwcu, czego w żadnym wypadku nie zdołano by uczynić, przygotowując nowe dekoracje i kostiumy do innych baletów. „Coppelia” jest poza tym baletem, będącym „gwóździem” repertuarowym na wszystkich scenach świata, zaś przedstawienia „Coppeli” w Moskwie od lat cieszą się olbrzymim powodzeniem. „Dyl Sowizdrzał” oraz „Suita hiszpańska” są natomiast baletami w Polsce nieznanymi i ich prawykonywania odbyły się właśnie w Poznaniu, odnosząc sukces tak z uwagi na wykonanie, jak i przede wszystkim na duży wyraz i wydzwięk społeczny.

„Program repertuarowy przewiduje następnie wystawienie „Romea i Julii” Prokofiewa, wznowienie w nowej inscenizacji „Pana Twardowskiego” i wystawienie nowego baletu G. Bacewiczówny „Z chłopca — króla”. Jak z tego wynika, pomyślano o popieraniu nowej polskiej twórczości baletowej, wbrew obawom autora artykułu „Dama Pikowa na 35 wyciągach”.

„Próby „Coppeli” dobiegają już końca i niebawem rozpoczniemy próby „Dyla Sowizdrzala” oraz „Suity hiszpańskiej”. Balety będą miały potrójną obsadę i w ten sposób umożliwi się nowym talentom nabywanie koniecznej praktyki i rutyny, niezbędnej w pracy artystycznej. Wierzę, że dzięki rozwijającemu się przy troskliwej opiece Państwa Ludowego szkolnictwu baletowemu i przy systemie wysuwania przy obsadach ról możliwie licznych młodych talentów, polski balet wnet uzyska wysoki poziom artystyczny”.

Ze swej strony autor artykułu „Dama Pikowa na 35 wyciągach”, red. Jerzy Waldorff, dodaje co następuje:

„Atakując projekt wystawienia w Warszawie „Coppeli”, według inscenizacji poznańskiej, miałem na myśli przede wszystkim jej nowe, bezsensowne i niezgodne z duchem muzyki libretto, które z okazji premiery poznańskiej było już ostro krytykowane. Znamy mi piękne wystawienie „Coppeli” przez Teatr Akademicki w Moskwie odbyło się według starego libretta, którego lekkość i wdzięk odpowiadały tym samym zaletom muzyki Delibes'a. — Dyrekcja Opery Warszawskiej nie poinformowała mnie o chęci wystawienia w najbliższym czasie baletu „Z chłopca — króla”. Dlatego miałem prawo niepokoić się, że zamiast nowego polskiego baletu, dzieła doskonałej pary autorów (Bacewiczówna — muzyka, Swinarski — libretto), pójdzie stary balet, zepsuty złym librettem. Dopiero z listu dyr. Wójcikowskiego dowiaduję się, że „Z chłopca — króla” wystawiony będzie w bliskiej kolejności. Może to mnie jedynie bardzo cieszyć”.

„ŚWIAT”

F R A S Z K I

ZA TE SAME PIENIAŻKI...

DNI OŚWIATY! — Z książkami widzisz liczne kioski, Wstąp i zakup powieść, jakieś dzieło nowe. Lepiej od „Cwiartuli” ugasi twe troski, A też jak alkohol „pójdzie ci do głowy” —

ODMIENNE SPOJRZENIA NA ŚWIAT...

„Ze świat jest zielony” — wciąż z uporem twierdził Groszek w zielonym uwiecznionym strączku. Na to groch w żółtym, mocno się rozszerzył: „Świat żółty jest, będzie i był od początku!”

MAGDALENA SAMOZWANIEC



Rys. Jerzy Kosieradzki

— Dlaczego mnie jeszcze nie zwolnili? Nigdy nie byłem aktywnym hitlerowcem.
— Właśnie dlatego!

ŚWIAT

TYGODNIK ILUSTROWANY
Redaguje Komitet
Wydawca: R.S.W. „PRASA”

Redakcja: Warszawa, Nowy świat 58. Telefony: Red. Naczelny: 6-41-64. Centrala 6-41-02, 6-41-23. Administracja: Warszawa, Wiejska 12, tel. 8-00-81. Prenumerata miesięczna zł 4,80, kwartalna zł 14,40, półroczna zł 28,80, roczna zł 57,60.

Zakłady Wkłóśdrukowe i Introligatorskie RSW „Prasa” Warszawa, Okopowa 58/72.

Zam. Nr 345. Papier rotogr. V/80—82 cm. — 4-B-15489

LENGREN



— „A w jakim wieku jest Pana dziecko?”
— Synek mego szefa ma sześć lat.

ROZRYWKI UMYSŁOWE

ROZETKA

Prawoskośnie dośrodkowo:
1) Cieszący się specjalnymi
względami, faworyt, 2) Zwią-
zek organiczny zawierający
grupę karbonylową połączoną
z rodnikami organicznymi, 3)
Krwawy cesarz rzymski z
I wieku naszej ery, 4) Wyży-
na w Azji środkowej zwana
„Dachem świata”, 5) Stolica
Chin, 6) Wielka wyżyna w
Indiach, 7) Nazwa emanacji
radu, 8) Cienka tkanina jed-
wabna, 9) Wyspa na wybrze-
żu Azji Mniejszej, 10) Samo-
lub, egoista, 11) Dawna mone-
ta, 12) Bohater powieści Gaj-
dara, 13) Grający na instru-
mencie, 14) Wspólnie, spolem,
15) Gaz błotny, 16) Naczynie
na kwiaty, 17) Wyspa w Cy-
kladach greckich na której
znajdowała się świątynia Apol-
lina, 18) Nadbałtycka miejsco-
wość wypoczynkowa.

Lewoskośnie dośrodkowo:
1) Promieniotwórczy pierwia-
stek chemiczny odkryty przez
małżonków Curie, 2) Odcinek,
talon, bon, 3) Historiograf
rzymski z I wieku przed na-
szą erą, autor „De virus illu-
stribus”, 4) Rodzaj czcionek
drukarskich, 5) Umówiony
wyraz lub znak, hasło, 6) W
starożytności: bóstwo wpły-
wające na losy człowieka, 7)
zarłoczna ryba morska, 8)
Sztukmistrz indyjski, 9) Kraj
w Afryce, 10) Pokój do przy-
jęć, 11) Moneta perska, 12)
Ogół wozów amunicyjnych lub
aprowizacyjnych, 13) „Zoł-
nierz” po łacinie, 14) Rący
koń, 15) Taniec polski, 16)



Tytuł turecki, 17) Dobrowolna
ofiara, drobny dar, 18) Miejsce
przechowywania skarbów w
opowiadaniach „Z tysiąca i
jednej nocy”.
Rozwiązania należy nadsy-
łać w terminie 10-dniowym od
daty ukazania się numeru pod

adresem redakcji z dopiskiem
na kopercie „Rozrywki umy-
słowe”. Wśród Czytelników,
którzy nadesłali prawidłowe
rozwiązania, rozlosowanych
zostanie

20 nagród książkowych.

ROZWIĄZANIE ZADANIA Z NR 86

SZYFROGRAM: Z dzieł
wielkich pisarzy i myślicieli
polskich uczymy się umiowa-
nia Ojczyzny i ofiarnej pracy
dla narodu. (szyfr, śliwy, mie-
so, Wiluż, Diana, płoty, Ju-
dym, miech, radio, opisy, Eli-
za, Chiny, płuca, ciecz, lilja,
cynik, zorza, nerki).

Za dobre rozwiązanie zada-
nia z nr. 86 nagrody książko-
we otrzymują:

1) H. Andrzejczak — Łódź,
ul. świerczewskiego 32, 2) K.
Babula — Wrocław, ul. Wró-
bla 2, 3) J. Bartecki — Stalino-

gród, ul. 18 Sierpnia 10, 4)
J. Buszkowski — Bielsko, ul.
Słoneczna 4, 5) A. Furuhjelm
— Olsztyn, ul. Stalingradz-
ka 43, 6) T. Gostorkiewicz —
Łódź, ul. Ogrodowa 28, 7) B.
Idziór — Poznań, ul. Grottge-
ra 11, 8) M. Kaniuk — Szcze-
cin, ul. Wrońskiego 28, 9) J.
Konieczny — Kraków, ul.
Szlak 63, 10) A. Mackiewicz
— Poznań, ul. Jackowskie-
go 53, 11) M. Niedźwiedz —
W-wa, ul. Żabkowska 2, 12)
Z. Roszkowski — W-wa, ul.
Kawczyńska 4, 13) A. Sa-

dowska — W-wa, ul. Snie-
gockiej 10, 14) C. Safian —
Bruxelles, av. Brugmann 87
(Belgia), 15) A. Siwińska —
Bytom, ul. Matejki 12, 16)
Zastęp kl. VII przy szkole
podst. w Skromnicy, p-ta Łe-
czyca, 17) A. Szwajs — Opo-
le, ul. Katowicka 56, 18) L. Za-
balski — Łódź, ul. Kilińskie-
go 96, 19) J. Zajac — Otwock,
ul. Szkolna 26, 20) B. Zare-
bński — Gliwice, ul. Puszki-
na 41.

Nagrody wysyłamy pocztą i
prosimy o potwierdzenie ich
odbioru.

SZACHY

Mecz szachowy „Świat — Czytelnicy

W partiach W1 i W200 sytu-
acja na szachownicy dawała
czarnym możliwości różnych
zagrań, toteż odpowiedzi
Czytelników były w tych
wariantach dość urozmaico-
ne. Inaczej rzecz się miała w
partii W21, gdzie wchodziła

w rachubę tylko jedna możli-
wość.

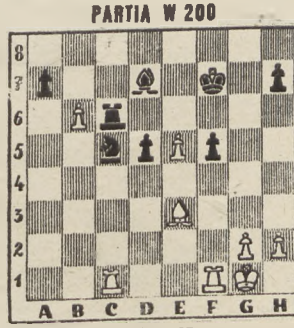
Tak więc w partii W1 prze-
szło Hb6 (47,4%) przed Hd7
(20,8%) i Wa8 (13,3%). W partii
W200 wybrali Czytelnicy po-
suniecie Kf7 (36,7%) przed

Sd3 (32,0%), Kg7 i Sa4. Zaś w
partii W21 wszystkie głosy
padły na Hf7.

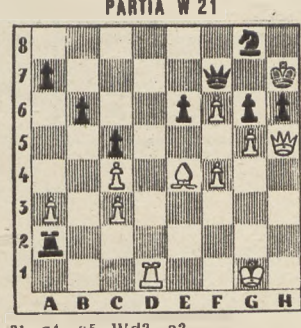
Po uwzględnieniu kolejne-
go posunięcia Redakcji nasze
partie przedstawiają się na-
stępująco:



31. Wc5:a5 Wa7:a5
32. Sc4:a5 Hd8-b6
33. Ha4-b4



31. Wa1-c1 Gc8-d7
32. a4-a5 Kg8-f7
33. a5:b6



31. g4-g5 Wd2-a2
32. Hf3-h5 Hc7-f7
33. Wf1-d1

Przypominamy, że odpowiedzi na 22 posunięcie Redakcji należy wysłać najpóźniej
we wtorek, 9 czerwca br.

PARTIA Nr 64

grana podczas drużynowych
mistrzostw NRD

PARTIA HISPANSKA

Białe: B. Koch
Czarne: W. Pletsch

1. e2-e4 e7-e5 2. Sg1-f3
Sb8-c6 3. Gf1-b5 Gf8-c5 4.
c2-c3 Sg8-f6 5. 0-0
Koch wybiera solidną, spo-
kojną kontynuację. Do ostrej
gry prowadziło 5. d4 e:d4 6.
c:d4 Gb4+ 7. Sc3 S:e4 8. 0-0
G:c3 9. b:c3 0-0 10. d5! S:c3
11. Hd3 S:b5 12. H:b5 Se7 13.
d6 c:d6 14. Ga3 i białe uzyska-
wały atak za ofiarowany ma-
teriał.

5... 0-0 6. d2-d4 Gc5-b6 7.
d4:e5

Skoro białe zagrały 4. c3,
nie powinny teraz likwidow-
wać napięcia w centrum, lecz

podtrzymywać je konsekwen-
tnie, grając 7. We1.

7... Sf6:e4 8. Hd1-d5 Se4-c5

9. b2-b4

W partii Rabinowicz — To-
lusz, Leningrad 1939, nastą-
piło 9. Gg5 He8 10. b4 Se6 11.
Gh4 Se7 12. He4 Sg6 z równą
grą. Również i posunięcie w
tekście nie daje białym prze-
wagi.

9... Sc5-e6 10. Gb5-d3 a7-

a5 11. Hd5-e4 g7-g6 12. b4-

b5 d7-c5 13. He4-e2

Należało grać 13. e:d6 e.p.
Sc5 14. He2 We8 15. Ge3 S:e5

16. G:c5 G:c5 17. S:e5 c:d6 18.

Sd2 d:e5 z równą grą. Teraz
przewagę uzyskują czarne.

13... Sc6-e7 14. Gc1-h6 Wf8

-e8 15. Sb1-d2 Se6-c5 16.

Gd3-c2 Gc8-f5 17. Gc2:f5

Se7:f5 18. Gh6-g5.

Na 18. Gf4 nastąpiłoby 18...
Se6 i np. 19. Gg3 h5 z wygra-
ną figurą.

18... f7-f6 19. Gg5-f4 g6-g5

20. Gf4-g3 Hd8-d7 21. Kg1-

h1 h7-h5 22. h2-h3 g5-g4 23.

Sf3-d4 f6:e5 24. Gg3:e5 Hd7-

h7 25. Wa1-e1 We8-e7

Jeszcze silniejsze było na-
tychmiastowe 25... S:d4 26.

c:d4 Sd3

26. Kh1-h2 Sf5:d4 27. c3:d4

Sc5-d3 28. h3:g4 h5:g4+ 29.

Kh2-g3 Hh7-f5 30. Wf1-h1

We7:e8! 31. d4:e5 -Gb6:f2+ i

białe poddały się.

WIDOWISKA, NIE — ŚRODOWISKA

W artykule Juli Hartwig
„Patrzele — Pawłowice
ida”, w drugiej linijce trze-
ciego od końca akapitu,
zdanie „Nie znam wiejskie-
go środowiska światłowe-
go, które...” itd. powinno
brzmieć: „Nie znam wieś-
kiego widowiska świetli-
cowego, które...” itd.



Już lada tydzień wyjedzie-
my po zdrowie nad morze,
na jeziora mazurskie —
gdziekolwiek bądź, byleby
były tam: słońce i woda.

Nad wodą niewątpliwie
wypoczywa się najlepiej...
Trzeba tylko pamiętać, że
przebywanie w słońcu może
być dla zdrowia szkodliwe,
o ile nie korzysta się z ką-
pieli słonecznych rozsądnie.
To znaczy: pierwszego dnia
możemy się opalać nie wię-
cej jak 10 minut, drugiego
20 minut — a dopiero po kil-
ku dniach, kiedy skóra jest
już zahartowana, możemy so-
bie pozwolić na całodzienne
przebywanie na plaży.

Trzeba także pamiętać o
natłuszczeniu skóry kremem
lub oliwą oraz o chronieniu
głowy chustką (przed słoń-
cem) i czepkiem kąpielowym
(przed wodą). I woda i słoń-
ce ujemnie działają na włosy.

A teraz popatrzcie na ko-
stiumy kąpielowe. Modne są
dwuczęściowe i jednostajne.
(Te drugie powinny być wel-
niane). Dwuczęściowe mogą
być z kretonu, ale powinno
się mieć drugi kostium na
zmianą — po wyjściu z wody.

TANIO i ŁADNIE



KARYKATURA POLSKA

W gmachu Arsenalu w Warszawie otwarto wielka Wystawę Karykatury Polskiej. Wystawa zgromadziła ponad 500 prac i obrazuje rozwój karykatury polskiej od XV w. po dzień dzisiejszy. Podajemy poniżej kilka rysunków z działu współczesnej karykatury politycznej, w dalszych numerach pokażemy prace z części historycznej wystawy.

WALERIAN BOROWCZYK



Imperializm pod pręgierzem ludzkości

JERZY KOSIERADZKI



Bez podpisu

JAN LENICA



Ohne uns

KUKIELKI JERZEGO ZARUBY



Grupa Lajkonika

JAN STAROWIEYSKI



(litografia)

— Może z niego będzie drugi Piłsudski...

SZYMON KOBYLŃSKI



Herr Adenauer namawia...

ERYK LIPIŃSKI



Acneson

TADEUSZ KOBAK



Nie można dopiąć

JAN TARASIN



(litografia)

Przed Komisją do badania działalności antyamerykańskiej